NOWOŚCI ILLUSTROWANE

renumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop.
przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs.
kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. —
7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
eny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

łówny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 14 grudnia 1912. Nr. 50.

Okropności wojny.

(Treść na str. 2).



Okropności wojny.

(Do illustracyi tytułowej).

Gdy nad krainą jakąś rozpali się pożoga wojny, nie darmo z kraju tego uciekają nie tylko ludzie,



Zgon arcypasterza warszawskiego: Ś. p. ksiądz arcybiskup Wincenty Popiel (Fot. St. Bogacki, Warszawa).

ale i zwierzęta. Ilekroć razy historya ludów notuje w swych kronikach wojenną zawieruchę, w ślad za nią znajdujemy opisy strasznych przejść, jakie przeżywają mieszkańcy okolic, nawiedzonych wojną.

Obecna wojna bałkańska pod tym względem była może krwawsza, niż jej poprzedniczki w ostatnich dziesiątkach lat. Poza roznamiętnieniem, jakie obudza w stronach walczących sama wojna, w tym wypadku działała jeszcze bardziej nienawiść rasowa, która, zwłaszcza u Turków, spotęgowana była religijnem przeświadczeniem, że Koran wprost nakazuje mordować „giaurów". To też wsie i miasta, nad którymi zajaśniała pożoga wojenna, padały pastwą



Dyplomatyczne podróże: Jeneralny inspektor armii austryackiej, Conrad v. Hoetzendorf (po cywilnemu) na dworcu w Bukareszcie rozmawia z austryackim *attaché* wojskowym.

ognia, a mieszkańcy ich bywali niejednokrotnie w pień wycinani. Mordowano z wyrafinowanem okrucieństwem. Kobietom obcinano piersi lub ręce, brzemiennym rozcinano wnętrzności, dzieciom rozbijano główki o belki i drzewa. Mężczyzn męczono częstokroć w sposób, którego wprost groza opisać nie pozwala. W ślad za ustępującemi kolumnami tureckiemi szły wojska państw sprzymierzonych, a widząc mordy, dokonywane na chrześcijanach, mściły się na ludności tureckiej. T. k. n. p. w jednej miejscowości kazano Turkom skakać przez miecze, ostrzami ku górze zwrócone; który źle skoczył, ginął pokaleczony wśród męczarni.

Grozę położenia powiększyła jeszcze zaraza, która zaczęła dziesiątkować zarówno ludność, jak i wojska. Ludzie padali setkami i ginęli bez ratunku w rowach przydrożnych, a zwłoki ich zwłóczono na stosy



Zgon arcypasterza warszawskiego: Ś. p. ks. arcybiskup Wincenty Popiel na katafalku. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

i palono. Zestawiwszy razem doniesienia pism o stratach w czasie walk i o okropnych mordach, dokonywanych zarówno przez regularne wojska, jak i przez partyzantów, przypuścić trzeba, że w czasie tych



Uroczystość strażacka we Lwowie: Przemówienie prezydenta Neumana (X) przed wręczeniem odznak honorowych jubilatom straży ochotniczej.



Uroczystość strażacka we Lwowie: Prezydent Neuman wręcza medal pamiątkowy naczelnikowi straży Majewskiemu. (Fot. M. Münz, Lwów).

kilku miesięcy zginęło na Bałkanie około miliona ludzi, a więc prawie tyle, co 1/7 część ludności, zamieszkującej Galicyę.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia zbieranie i palenie zwłok na pobojowisku.

Nad świeżą mogiłą.

W Warszawie zmarł znany w szerokich kołach świata literackiego pisarz i publicysta, ś. p. Stanisław Krzemiński.

Urodzony w r. 1841 ś. p. Krzemiński był uczniem b. Szkoły głównej, a następnie kształcił się zagranicą i ukończył uniwersytet w Heidelbergu. Po wypadkach r. 63 w których brał udział, poświęcił się literaturze i publicystyce.

Zmarły ogłosił szereg szkiców historycznych i literackich, z których należy wymienić: „O przekładach Psałterza na język polski“, „Dwaj myśliciele XVIII wieku (Walter i Rousseau)“, „Zarysy literackie“, i inne. Zwłaszcza praca jego o trylogii Sienkiewicza uzyskała większy rozgłos. S. p. Krzemiński ogłosił również mnóstwo drobniejszych prac krytycznych, rozrzuconych po czasopismach i pracował stale w „Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej“, której był sekretarzem.

Ze zmarłym zeszedł do grobu zasłużony pracownik na niwie literackiej i jeden z najzacniejszych obywateli kraju.



Nad świeżą mogiłą: Zmarły w Warszawie publicysta i historyk literatury ś. p. Stanisław Krzemiński.

Zgon arcypasterza warszawskiego.

W tych dniach stolica arcybiskupstwa warszawskiego została osierocona, po raz ósmy od chwili jej kreowania. Zmarł ks. arcybiskup Wincenty Popiel, w chwili, gdy rozpoczynał 50 ty rok piastowania godności biskupiej.

Urodzony w r. 1825 naipierw poświęcił się karyerze prawniczej. Czując jednak powołanie do stanu duchownego, w r. 1847 wstąpił do seminaryum duchownego w Kielcach, gdzie w r. 1849 otrzymał święcenia kapłańskie. W r. 1863 został wyświęcony na biskupa i objął dyecezyę płocką. W r. 1876 po kilkoletnim pobycie w Nowogrodzie został biskupem dyecezyi kujawsko kaliskiej, skąd w r. 1883 po rezygnacyi ś. p. arcybiskupa Felińskiego powołany został do Warszawy i mianowany arcybiskupem.

Na tem stanowisku wytrwał szereg lat, pracując w bardzo ciężkich warunkach. Wzór pobożności, poświęcił swe trudy wyłącznie pracy kościelnej, podnosząc życie religijne i karność wśród duchowieństwa. W r. 1899 obchodził 50 lecie kapłaństwa, w r. 1903 40-lecie biskupstwa, zaś w r. 1908 25-lecie arcybiskupstwa. Śmierć jego nie była niespodzianką, gdyż choroba, która już od roku szarpała jego organizm kazała się spodziewać katastrofy.



Po zawieszeniu broni: Król bułgarski Ferdynand podczas rokowań pokojowych przybywa do Czataldży.



Wystawa lalek w Warszawie: Scena z ostatniego aktu „Wesela" Wyspiańskiego. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

W spuściźnie literackiej pozostawił zmarły arcypasterz obszerne dzieło, napisane w Nowogrodzie, p. t. „Żywot Zbawiciela świata według czterech ewangelistów", oraz jako trwałą pamiątkę, odbudowę starożytnej katedry we Włocławku.

Wyspiański na scenie amatorskiej.

Przemyśl, trzecie z rzędu miasto w Galicyi, nie mając stałego teatru, zaspakaja swe potrzeby duchowe pod tym względem na przedstawieniach amatorskich „Polskiego Towarzystwa dramatycznego im. Al. Fredry", których udatność i wysoki poziom artystyczny znane są powszechnie nie od wczoraj.

Świeżo mamy do zanotowania sukces niebywały, jaki zasłużone to Towarzystwo osiągnęło dnia 30 listopada i 4 grudnia b. r. wystawieniem sześciu odsłon z „Nocy listopadowej" Stan. Wyspiańskiego. Zapowiedź tej śmiałej imprezy przyjęła publiczność początkowo z pewnem niedowierzaniem z uwagi na olbrzymie trudności techniczne, jakie wystawienie tego dzieła nastręcza nawet scenom stołecznym. Niedowierzanie to stało się tem silniejszym bodźcem dla utalentowanej i inteligentnej drużyny amatorskiej, która też tym razem dała ze siebie więcej, niż dyletanci dać mogą.

Przy nieodstępnym w takich razach deficycie kasowym oddali wytrawni przemyscy amatorzy piękny hołd pamięci Wyspiańskiego w piątą rocznicę jego zgonu.



Wyspiański na scenie amatorskiej: Scena z „Nocy Listopadowej", wystawionej w Przemyślu przez Polskie Tow. dramatyczne im. Al. Fredry. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

14

A jak jeno ona zacna latorośl naszego domu podrośnie na tyle, by podróż do Krakowa bez niebezpieczeństwa odbyć mogła, przywieź ją, a ja ochrzczę to dziecię twoje i dam mu imię pana ojca naszego, Stefana. To wszystko, co ci tu piszę, jest szczerą prawdą, na co daję słowo kapłańskie. Jeszcze raz cię napominam, panie a bracie mój i wzywam, byś haniebną plotką pogardził i synaczka twego przyrodzonego kochał, jak to ojcu każdemu przystoi.

Dając ci panie bracie moje błogosławieństwo kapłańskie, polecam cię Opiece Najświętszej Panienki, orędowniczki i opiekunki naszej.

Adalbertus Dziaduski, m. p.

Cracoviae, w dzień św. Apolonii, Panny i Męczenniczki A. D. 1650".

XIII.

Ciąg dalszy dziennika Julii.

Dzień 3 kwietnia. Ona powyższe dokumenty rozjaśniły mi wiele ciemnych stron w tragicznej historyi mej prababki, niemniej przeto nie wszystko, co w niej jest zagadkowego, rozwiązanem zostało. A mianowicie, kto pisał ten list, donoszący panu chorążemu o romansie jego żony z kawalerem Dolabellą, kto był tą „jadowitą gadziną", jak słusznie wyraził się ksiądz prałat i kanonik krakowski, która ukąsiła zmienacka mego prapradziada. Że to niegodne, nikczemne pismo wyszło z Gaworowa, to nie ulega dla mnie wątpliwości. Wszak pani chorążyna pisze w swoim dzienniku, że bawiące tam damy za zdrościły jej, że swą „dyabelską pięknością" opano wała serce włoskiego mistrza; wszak o owej scenie w alkowie chorążyny tylko one mogły mieć wiadomość. Ale któraż z tych wstrętnych zazdrośnic dopuściła się tego haniebnego czynu, tej bezimiennej denuncyacyi? Któż to był tą Armidą, podpisaną na liście?

Gdyby cała ta historya nie była tajemnicą rodzinną, brudną bielizną, którą tylko w domu prać należy, to opisałabym ją Hortensyi, a ona ze swą przenikliwością, pewna jestem, odrazu by mi wskazała winowajczynię. Nie mogąc jednak tego robić, sama muszę łamać głowę i prawie pewna jestem, że nikt inny tej zbrodni (bo przecież to była zbrodnia ze względu na okropne następstwa) się nie dopuścił, tylko pani Luiza Gaworowska. Zasadnicze rysy jej intryganckiego charakteru, tak wybornie opisane w pamiętniku chorążyny, jaskrawo występują w liście do mego prapradziada, krwawego, ohydnego tyrana, mordercy, polskiego Sinobrodego. Wszak ona kochała się w kawalerze Dolabelli, a ujrzawszy, że ten ku mej prapraba bce zwrócił swe uczucia, zazdrością powodowana, ów haniebny list skreśliła. Tak mi się to wydaje i inaczej być nie mogło.

Z drugiego dokumentu, t. j. listu jakiegoś księdza Wojciecha Dziaduskiego, dowiaduję się, że mój prapradziadek nie dość, że zamordował swą żonę, jeszcze syna nie chciał uznać za swego potomka. Nie bardzo rozumiem, jak to mogło być, zresztą zamiaru tego nie doprowadził do skutku, kiedy Dziaduscy do dziś dnia istnieją. Zapewne uległ on namowom swego brata, księdza prałata.

Oto wszystko, czego się dowiedziałam z tych dwóch listów i nie chcę więcej o tem myśleć; tragiczne losy mej praprababki związane są z moimi w dziwny sposób, ale cóż ja na to poradzę? A może mi się to wszystko zdaje, może te myśli, które mię nawiedzają, są wypływem posępnej atmosfery zamkowej, pełnej mar przeszłości minionej, może tej samotności, w jakiej tu żyję. I w czemże zresztą moje losy są podobne do losów owego nikłego „Cienia", portretu? Prócz nazwisk nic więcej. Cóż, że ja czuję bicie serca na wspomnienie pięknego szwoleżera Dolabelli? cóż, że mi się podobał i chętnie żoną jego bym została, kiedy on o mnie nie myśli? Wszak oddawna już jest w Polsce, blisko mnie, a czy dał czemkolwiek poznać, że pamięta o pannie Dziaduskiej z Paryża? Mój Boże! słusznie panna Daufinot mówiła, że ród męski jest pełen zdrad i nigdy wierzyć mu nie można.

Głowa mię boli i serce moje mocno cierpi i jestem bardzo nieszczęśliwa!

Dnia 6 kwietnia, późno w nocy. To, co się dziś stało, jest czemś tak niezwyczajnem, czemś unoszącem mię w nieznaną przyszłość, porywającem mię ku tej przyszłości, jak liść, który burza oderwała z drzewa i rzuciła na fale wartkiego potoku. Co z tego będzie, co będzie?

Ale trzeba, żebym opisała wszystko szczegółowo na tych kartkach, jedynych powiernicach mych myśli i marzeń, bo kiedy z drżeniem i trwogą spoglądam w przyszłość, należy tu wszystko skrzętnie notować, bo mi się to przydać może w tej przyszłości, której się tak lękam. Co mi jutro przyniesie, co mi przyniesie, mój Boże?

Od trzech dni jestem tak rozstrojona, tak jakoś zleniwiałam, że mi się nic nie chciało, zresztą nie było o czem pisać. Dziadunio zajęty jest ciągle wysyłaniem zboża i siana do Kielc, rozporządzeniami gospodarskiemi, bo nakoniec wiosna zawitała do tych posępnych, lesistych i górskich okolic. Bzy poczynają się rozwijać, śniegi stopniały, śliczne, ciepłe słońce oświeca złocistym blaskiem bory i zapala na szczytach wieży klasztornej oślepiające ognie. Dla rozerwania się, nie chcąc więcej myśleć o losach tragicznych mej praprababki, bo mi one ból sprawiają, zabrałam się dziś rano do odczytywania przygód kawalera Faublas, książki, którą przyniosłam z biblioteki przed paru tygodniami, a której dotąd nie przejrzałam, bo umysł miałam czem innem zajęty.

Dziwna książka! W większej części nie rozumiem jej wcale; opisy jakichś osobliwszych amorów kawalera Faublas, przebranego za kobietę i w tej postaci wdzierającego się w tajemnice swych kochanek, są dla mnie niejasne, ale przedewszystkiem uderzają mię ryciny nagich mężczyzn lub kobiet w jakichś, niepojętych dla mnie, pozach romansowych. Czy to możliwe, żeby istniały na świecie kobiety, dające się tak obejmować pół nagim mężczyznom?... Nie! nie! nie! rumieniłam się, sama nie wiem dlaczego, patrząc na te ryciny, wstyd mię jakiś ogarniał, policzki mi płonęły i głowa mię mocno rozbolała, tak że całe popołudnie przeleżałam na kanapie i dopiero wieczorem wstałam. Nie! więcej tej książki czytać nie będę...

Wieczór był śliczny. Ogromny księżyc wypłynął na niebo czyste, ciemno błękitne, rzucając tajemnicze blaski i cienie na wszystkie przedmioty, na lasy i góry okoliczne. Od tych lasów, od drzew zieleniejących już tu i ówdzie szła jakaś woń ożywcza, jakieś rozgrzewające krew prądy nadziei i życia. Głowa mię ciągle bolała, więc dla zaczerpnięcia powietrza, wciągnięcia w piersi woni wiosennej, zeszłam do parku, a jak tu nazywają po staroświecku, wirydarza. Ścieżki między odwiecznemi grabami już obeschły, dzięki górzystemu położeniu parku i mocnym spadkom, więc chodzić było można wszędzie. Jakiś romantyczny urok wywierała cisza, panująca tutaj, głębokie cienie, od drzew padające, przecinane tu i ówdzie srebrzystą siatką blasków księżycowych. Noc była piękna bardzo i bardzo poetyczna. Wdychałam w siebie z rozkoszą świeże, chłodne, jędrne powietrze i czułam, jak powoli głowa przestaje mi ciążyć, a nerwy moje, wzburzone przygodami kawalera Faublas, poczynają się uspokajać.

Zapuściłam się aż na sam koniec parku, ponad staw i patrzałam, jak w jego cichych wodach, lekkim wietrzykiem marszczonych, drżą, brylantowym blaskiem świecące, promienie miesiąca. W tem sennym świetle miesiąca kamienna, biała figura, stojąca ponad stawem, przedstawiająca jakąś boginię grecką, wyglądała na ciemnem tle drzew, jak widmo, jak duch zamarłej i zastygłej przeszłości. Zachwycona poetycznym urokiem tej nocy cudownej, stałam tak długo nad stawem, wsłuchując się w ciszę i tysiączne głosy, brzmiące wśród największego nawet spokoju w naturze, gdy nagle, gdzieś bardzo blisko, rozległ się dwukrotnie stłumiony, ale bardzo wyraźny krzyk puszczyka. Wstrząsnęłam się cała na ten ponury złowróżbny głos, powtórzony dalekiem echem po borze i chciałam już zawrócić do zamku, gdy w gęstwinie po mej prawej zatrzeszczały gałęzie z nich wysunęła się jakaś ciemna postać.

— A, to jaśnie panienka! — syknęła ta postać — to dobrze, to bardzo dobrze.

— Jezus, Marya! — zawołałam, przejęta śmiertelnym strachem, kto tu?

— To ja, Szydło... niech się jaśnie panienka nie boi...

Chciałam uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, dygotałam cała jak w febrze i usiłując odzyskać spokój, który jeden, jak mi się zdawało (bo co mi się wówczas nie zdawało!) mógł mię wyratować z tej okropnej sytuacyi, mnie samą jedną, wśród głuchej nocy, wobec strasznego zbójcy, zapytałam:

— Czego? czego Szydło chce? Niech Szydło sobie idzie... dziadunio jest w zamku...

— Kiej ja do jaśnie pana nie mam jenteresu, jeno do jaśnie panienki.

— Do mnie? — zawołałam, jeszcze bardziej przerażona, bo już prawie byłam pewna, że Szydło chce mię porwać, by potem okup pieniężny wymusić na dziaduniu, jak to nieraz czytałam o różnych bandytach włoskich i jak to robił sławny Rinaldo-Rinaldini.

A Szydło, zbliżywszy się do mnie, szepnął:

— Niech jaśnie panienka tak głośno nie gada, bo nie chcę, żeby kto wiedział, że ja tu jestem i niech się jaśnie panienka nie boi, bo nijakiej krzywdy jej nie zrobię.

Swemu grubemu, chrapliwemu głosowi starał się nadać ton jak najłagodniejszy, prawie pieszczotliwy, co mię nieco uspokoiło, mimo to rzekłam:

— Niech się Szydło do mnie nie zbliża, niech się nie zbliża, bo będę krzyczała...

— Dobrze, nie ruszę się stąd, kaj stoję... mówię, niech się jaśnie panienka nie boi. O laboga, przecie gadam, że nijakiej krzywdy jaśnie panience nie zrobię, mam jeno jenteres wedle tego ojca, co to z klasztoru uciekł.

— Gwidona?

— Tak... zaboczyłem jego imienia, ale on mnie tu do jaśnie panienki przysłał.

— On Szydłę do mnie przysłał? — zapytałam, nadzwyczajnie zdziwiona i uspokojona już zupełnie, bo widziałam, że herszt nie ruszał się z miejsca, na którem stanął, a ja mając za sobą wolną ścieżkę, pewną byłam, że w razie czego potrafię uciec i narobić krzyku.

— Czegóż chce Gwido odemnie? — zapytałam.

Szydło podrapał się po skołtunowanej głowie i rzekł:

— Bo to widzi jaśnie panienka, ja zarasieńko, jak mi jaśnie pan przykazali, znalazłem tego ojca, jeno nie w puszczy, ale w chałupie gajowego, w lesie Witosławskim. Siedział on sobie tam chudzina i jakem go nalazł, tak pedam mu, jaki mam przykaz od jaśnie pana. Zmartwiał ze strachu, a ja mu na to: niech no się dobrodziej nie boi, nie chycę go wcale, bo mię jaśnie panienka prosiła, aby dobrodziejowi krzywdy nie robić, niech se dobrodziej tu siedzi, dokąd będzie chciał, jeno konie i wózek zabiorę, żeby dziedzicowi z Zamkowej Woli z przeproszeniem gębę zatkać i pokazać, żem szukał i przykaz jego wykonał. Takem mu pedział, a on też zaraz był weselszy, jakby się na świat narodził i zaczął się pytać o panienkę i gadał, co jaśnie panienka jest jak janioł piękna i też dobra.

Odzyskałam już zupełnie przytomność, pewność siebie i spokój.

— Niepotrzebnie mu to Szydło powiedział.

— Niby cóż?

— Że ja prosiłam, aby Szydło nie wykonał rozkazu dziadunia.

— Tak?

— A tak.

— Hm... wiem ja to, co robić? jaśnie panienka nie pedziała mi, żeby mu o tem nie gadać. Żeby mi jaśnie panienka była to pedziała, tobym nie gadał.

Trzeba było skończyć prędko tę rozmowę i to dziwaczne spotkanie, więc spytałam:

— Czegóż pan Gwido chce odemnie?

— On chce się z jaśnie panienką zobaczyć, ma tam jakiś jenteres, molestował mnie, żebym jaśnie panienkę o to uprosić. Gadał, co jaśnie panienka jest dobra i piękna jak janioł, że ón, dobrodziej, jako żywo nigdy jeszcze nie widział takiej pięknej panny...

— Ale po cóż on chce się ze mną zobaczyć? — zapytałam, przerywając te zachwyty.

— Wiem ja to, po co? tego mi nie pedział, jeno molestował: mój Szydło, mój dobrodziejaszu, mój kochany, zrób to dla mnie, dostań się do jaśnie panienki i powiedz jej, że ja chcę się z nią obaczyć. Ano cóż, myślę sobie, czemu nie? zaszkodzi mi to, czy co? Więc, co robiący, już bez dwie noce chodzę kole zamku, żeby jako jaśnie panienkę zdybać, ażem zdybał dzisiok. Niechno jaśnie panienka rzeknie słówko, kiej tu podle stawu będzie czekała, a my z dobrodziejem nocką duchem przylecimy.

— Powiedz panu Gwidonowi, że to być nie może — odrzekłam, zdziwiona tą propozycyą, oburzona, że ten bezwstydny mnich śmie żądać odemnie schadzki i nazywa mię piękną panną.

— Niby jak to być nie może? — zapytał Szydło, widocznie nie rozumiejąc mej odpowiedzi.

— Nie chcę widzieć tego mnicha... niech mu to Szydło powie...

— Ano... juścić powiem, ale mnie się widzi, co ón na tem nie poprzestanie. Jemu, kiej gada o jaśnie panience, to się ślepie z przeproszeniem tak świecą, jak wilkowi, kiej owcę obaczy.

— Niech Szydło sobie idzie... ja odchodzę...

Zawróciłam i szybko pobiegłam do zamku, bo

bądź co bądź lękałam się tego zbója i drżałam, czy się nie puści za mną. Ale nie, nie ruszył się, a ja zdyszana, zatrzymałam się przy drzwiach zamkowych, nadsłuchując, gotowa każdej chwili w razie jakiego podejrzanego odgłosu skoczyć w te drzwi i zamknąć je za sobą. Lecz nikt mię nie gonił; cisza, niezakłócona niczem, panowała dokoła. Tłumiąc bicie serca, poszłam do siebie, zamknęłam się w mym buduarze i teraz dopiero poczęłam się zastanawiać nad tem dziwacznem spotkaniem z bandytą leśnym i nad dziwaczniejszą jeszcze propozycyą zbiegłego mnicha przestępcy.

Dlaczego on chce się ze mną widzieć? dlaczego naznacza mi schadzkę? Na te pytania oczywiście nie ma odpowiedzi, ale mój instynkt kobiecy mówił mi, że podkładka tego osobliwszego zaiste żądania jest... jakby to powiedzieć... miłość, nie miłość, ale może jej pragnienie. Wszak przypominam sobie ogniste spojrzenia, jakiemi mię obejmował Gwido, gdy w noc mroźną zjawił się przed paru miesiącami w zamku; jego wzrok, którym mię szukał nieustannie i starał się przebić ciemności, w których się ukryłam. Tego wzroku nie zapomnę nigdy i doskonale rozumiałam i rozumiem przebijającą się w nim żądzę. Nie mogę zaprzeczyć, że te oczy były bardzo piękne, że przypominały mi inne, tak miłe sercu mojemu, ale... Tak, dobrze zrobiłam, żem odmówiła widzenia się z Gwidonem; jego zachwycanie się moją pięknością oburza mnie i wstydzi, choć... nie! już więcej nie napiszę...

Dnia 20 kwietnia. Stało się! Fatalne przeznaczenie moje spełniło się i spełnić się musi. Duch Cienia mej prababki popycha mię w ciemną, niezbadaną przepaść. Cała gorzeję wstydem, oburzeniem, wzgardą dla mej nikczemności. Jestem zgubiona, zgubiona na wieki!

Staram się odzyskać nieco spokoju i opisać tu wszystko na tych kartach, choć drżę cała i nie mam, nie znajdę słów na określenie mej słabości. Boże, żeby to była słabość, nie chwilowe zapomnienie się.

Od chwili dziwacznego spotkania mojego w parku nad stawem z hersztem Szydłem, upłynęło parę tygodni w zupełnym spokoju, tak że zapomniałam już o osobliwszej propozycyi mnicha Gwidona, a raczej pana Tomasza Gaworowskiego. Ale wczoraj... nie! trzeba wprzódy opisać wszytkie okoliczności, poprzedzające to straszne wczoraj, cały zbieg szczególnych zaiste zdarzeń.

Od tygodnia, a raczej od dwóch tygodni, panuje tu prześliczna pogoda, i jest tak ciepło, tak słonecznie, że dziadunio utrzymuje, iż nie pamięta tak pięknego, nieomal gorącego kwietnia. Niebo jest ciągle jasne, bezchmurne, słońce sieje rozkoszne ciepło i wiosna jest w całym rozwoju wszystkich swych uroków. Park zazielenił się, fijołki i pierwiosnki się ukazały, bzy lada dzień kwitnąć będą, a słowik pod mojem oknem, ukryty w ogromnych krzakach bzów i jaśminu, co wieczór trele swe miłosne wyśpiewuje. Cała okolica, te wielkie bory otaczające dokoła zamek, taką posępną ciemnością ciemniejące w zimie, dziś zielenią się rozkosznie i ożywczą woń rozsiewają dokoła. Noce są jasne, ciche, senne, rozmarzone, cała natura zdaje się rozpływać w jakiemś rozkosznem, leniwem upojeniu.

Zawsze piękne widoki, bujne życie odmładzającej się przyrody, wiosna jednem słowem, wywierała na mnie nieprzeparty urok, a cóż dopiero, gdy żyję na jej łonie bezpośrednio, wśród wielkich, prastarych puszcz, nieskalanych jeszcze tak zwanną cywilizacyą. Lękając się chodzić do parku wieczorami, by nie spotkać się znowu z Szydłem, długo w nocy siedzę w otwartem oknie, wdychając w siebie woń wiosenną, szukając powietrza, którego mi moje zazdrosne, ciężko sklepione pokoje dać nie mogą. Czasem Zuzia siedzi ze mną, ale widząc, że ją to nudzi, nie zabraniam jej wymykać się, zapewne do oficyny, gdzie pan Alfons Dziurkiewicz brzdąka na gitarze i czule szansonetki śpiewa o brzozach i o strumykach, albo o Filonie i Laurze, która na schadzkę z kochankiem wzięła z koszykiem maliny swoje. Zwykle więc sama siedzę, otulona w szal, przy otwartem oknie na park wychodzącem, i napawam się rozkoszami cichej, jakby drzemiącej nocy wiosennej.

Tak samo było wczoraj. Noc była jasna, choć bezksiężycowa, niebo czyste, ciemno szafirowe, usiane tysiącami gwiazd. Słuchałam śpiewu słowika, wdychałam w siebie balsamiczne powietrze, upajałam się wielkiem, rozmarzonem, pełnem jakiejś tajemniczości milczeniem przyrodzenia, śledziłam mistyczny bieg gwiazd, nieskończone wiekuiste krążenie wszechświata, myślałam o wszystkiem i o niczem, cała roztopiona w zadumie, niejako wcielona w tę olbrzymią, nieśmiertelną naturę...

W zamku panował niczem niezakłócony spokój. Dziadunio jeszcze rano pojechał do Kielc, bo teraz w ciągłym był ruchu, gdyż wojna wybuchła i cesarscy, „kajzerliki", jak ich tu nazywano, wkroczyli do Księstwa Warszawskiego i dziadunio nie mógł usiedzieć na miejscu, ale nieustannie jeździł dla zasięgnięcia wiadomości, których w takiem pustkowiu jak Zamkowa Wola, nie było skąd zaczerpnąć. Stary Kociuba potwór zapewne gdzie drzemał, Gruszkowska też, a z nią i służba cała. Była więc cisza uroczysta, tylko słowik śpiewał, od drzew i krzewów parku szedł szmer lekki, prawie nie uchwytny, psy na wsi, pod górą zamkową uszczekiwały, a ja marzyłam.



— Powiedz panu Gwidonowi, że to być nie może.

Nagle tę ciszę przerwał trzask złamanej gałęzi, dały się słyszeć ciche kroki, i na ścieżce, tuż pod mojem oknem ukazała się jakaś postać ludzka. Dziwna rzecz, jakiemś jasnowidzeniem wiedziona, byłam pewna, że to mnich Gwido, albo raczej Tomasz Gaworowski, choć twarzy jeszcze w cieniu, od drzew padającym, rozpoznać nie byłam w możności. Stał na środku ścieżki, w ogromnym bandyckim kapeluszu na głowie, naciśniętym na oczy, otulony w długi płaszcz z peleryną, wyniosły w swej zręcznej i gibkiej postawie. Przerażona do najwyższego stopnia, podniosłam się by zamknąć okno, co Gwido zobaczywszy ukląkł na ścieżce i podnosząc ręce do góry, jakby się modlił do mnie, zawołał głosem męskim, srebrzystym, dźwięcznym i pieścinnym, przypominającym mi żywo inny, drogi mi głos:

— O! nie uciekaj pani, szeptał namiętnie — nie zamykaj okna, pozwól niech przy tych nikłych, nocnych blaskach, widzę twą postać, bogom chyba skradzioną. Błagam cię, o najpiękniejsza ze śmiertelnych, wysłuchaj mych słów, mego usprawiedliwienia, tego nakoniec, czego już nie jestem w stanie dzisiaj ukrywać, że cię kocham, tak kocham, jak tylko kochać może kobietę mężczyzna. Od pierwszego ujrzenia ciebie, zapaliłaś o! Julio! żar nieugaszony w mem sercu, uczyniłaś mię swym niewolnikiem, swym rycerzem. O! Julio, jakże ja cię kocham!

Pierwszy to raz w życiu słyszałam takie namiętne, takie poetyczne słowa kochania, miłości... słowa wypowiedziane tym głosem, który moje biedne serce wprawiał w przyspieszone bicie. Noc, prądy miłosne rozbudzonej do życia natury, rozmarzenie moje, nastrój tęsknej i czegoś pragnącej mej duszy, wszystko to sprawiło, że okna nie zamknęłam, stałam bezwładna, z opuszczonemi rękami, na pół nieprzytomna, zasłuchana w ten głos pieściwy, w te słowa miłosne, namiętne, lejące żar jakiś w me piersi... Przymknęłam oczy i rozkoszowałam się w półomdleniu i w półjawie dźwiękiem tych wyrazów, tego głosu.

I nie wiem, jak się to stało i kiedy, dość, że uczułam, jak moją kibić obejmują jakieś silne ręce, jak mię cisną do siebie, jak palące pocałunki okrywają moją twarz i moje usta. I już nie pomnę, nie mogę pamiętać, pragnę, o tak! pragnę temu zaprzeczyć, a jednak to jest pewnem, że na te pocałunki odpowiedziałam pocałunkiem... tak! tak! o! Boże mój, co to się stało?

I wtem, gdy on mnie coraz silniej cisnął do siebie i na pół bezwładną ciągnął ku kanapce, pod ścianą stojącej, gdy mi szeptał do ucha słowa miłości, których nie jestem w stanie powtórzyć, nagle, nie wiem skąd i dlaczego, przypomniałam sobie taką samą scenę, odegraną przed półtora wiekiem, tam w Gaworowie, między moją praprababką-Cieniem a kawalerem Dolabellą. I zgroza mię straszliwa owładnęła, cała niemoc dotychczasowa moja znikła, z nadzwyczajną siłą odepchnęłam zuchwalca, wyrwałam się z jego objęć i zawołałam:

— Precz! precz! wychodź stąd, wychodź natychmiast!

Usiłował mię jeszcze uchwycić, widziałam przy blasku lampy w sąsiednim pokoju palącej się, jego ogromne, iskrzące się żarem, magnetyczne i cudownie piękne oczy, jego usta na pół otwarte, wspaniałą, lśniącą się brodę, słyszałam jego błagalne słowa:

— Julio, ja cię kocham, kocham nad życie, nad świat cały!

Ale już nie miały one nademną mocy i wołałam w najwyższem uniesieniu:

— Precz! wychodź pan stąd, bo służby zawołam, każę cię schwytać... ty, coś skarby zrabował klasztorne, złoczyńco, wychodź stąd, uciekaj natychmiast!

Zatrzymał się na te słowa, podniósł kapelusz, który w tem szamotaniu spadł mu był z głowy, przetarł oczy, jakby się z ciężkiego snu obudził i rzekł tonem groźnym:

— A więc tak, złodziejem mnie pani nazywasz, złoczyńcą... dobrze, wyjdę stąd, ale wiedz, że musisz być moją, musisz! choćbym miał przez krew i płomienie do ciebie się dostać, to cię dostanę, jak Bóg na niebie. Do widzenia!

Pobiegł do otwartego okna, zręcznie chwycił się ram, wyskoczył przez nie i zniknął. Słyszałam, jak biegł przez park, jak trzeszczały pod nim gałęzie, i... dawna zaległa cisza w około. Na pół omdlała, bezsilna, wyczerpana, miałam jednak tyle przytomności, że zamknęłam starannie okno, powlokłam się na kanapkę i padłam na nią, wstrząśnięta do głębi, palona wstydem i zgrozą. On mię całował! całował! i ja.. ja mu te całunki oddawałam. Boże! jakąż ja noc przepędziłam, a nadewszystko ta scena, jakby żywcem przekopiowana z pamiętnika mej praprababki. Cóż to za fatalny ciąg wypadków? czyż i mnie czeka ten sam los, to samo przeznaczenie, ta izba zakratowana za biblioteką i śmierć straszna i pogarda następnych pokoleń? Tracę głowę, mąci mi się wszystko w myśli... nie mogę więcej pisać.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Po zawieszeniu broni: Ostrzeliwane przez flotę grecką miasto Valona, gdzie Izmail Kemal-basza proklamował niezawisłość Albanii.

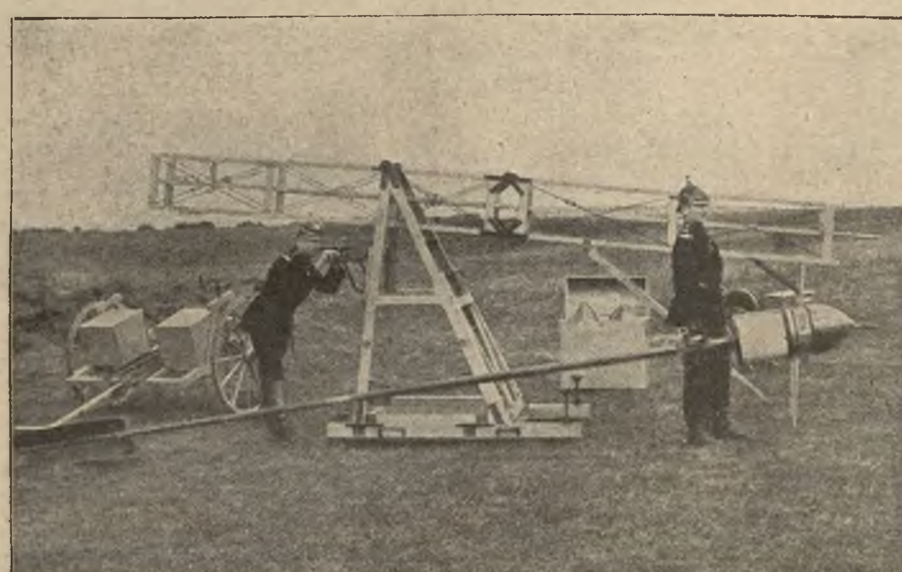
Fotografia na usługach wojny.

Postępy techniki wojennej doprowadzają do coraz nowych wynalazków, których celem jest dopomaganie do poznawania pozycyi nieprzyjacielskich i jak najdokładniejsze pełnienie służby wywiadowczej. Od tego bowiem, jak informowana jest armia o ruchach przeciwnika, zależy bezwzględnie los każdej kampanii wojennej. Ważną rolę przy służbie wywiadowczej, obok telefonów polowych odgrywa fotografia. Najlepsze mapy okolic robione są za pomocą zdjęć fotograficznych, dokonywanych z aeroplanów lub balonów. Nie wszędzie jednak i nie zawsze dadzą się do tego celu użyć aeroplany albo balony.

W armii niemieckiej zastosowano więc nowy wynalazek fotografowania przy pomocy rakiet. Rakieta taka jest w ten sposób skonstruowana, że u jej spodu przytwierdzony jest momentowy aparat fotograficzny, zaopatrzony w spadochron. Sama zaś rakieta ma formę długiej strzały opatrzonej na końcu lotkami.

Rakieta wystrzelona ze specyalnego aparatu wznosi się bardzo wysoko, a w chwili, gdy u góry osiągnie najwyższy punkt swego lotu, wybucha i równocześnie powoduje działanie zatrzasku aparatu fotograficznego, który zdejmuje całą okolicę. Aparat zaczyna spadać, spadochron jego wtedy się otwiera i nieuszkodzony dostaje się na ziemię.

Wynalazek ten jest bardzo doniosły, gdyż zdjęcia można robić i w nocy, używając rakiet napełnionych magnezyą.



Fotografia na usługach wojny: Przygotowanie aparatu fotograficznego oraz rakiety przed jej wystrzeleniem w powietrze.

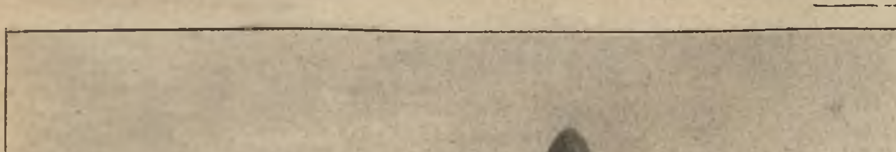
Illustracye nasze przedstawiają przyrząd do wyrzucania rakiet, wybuch jednej z nich oraz okolicę zdjętą aparatem, przymocowanym do rakiety.

Po zawieszeniu broni.

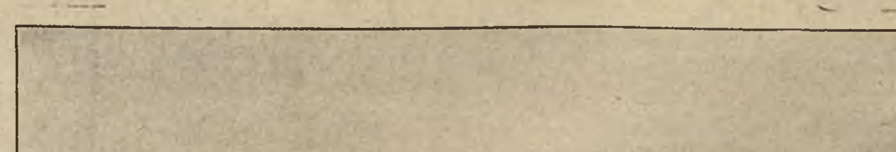
Chmury wojenne, jakie rozsiadły się nad Bałkanem, uspokoiły się cokolwiek i przynajmniej chwilowo na terenie wojny zapanował względny spokój. Na mocy układu zawartego w Czataldży trzy z wojujących mocarstw: Serbia, Bułgarya i Czarnogóra podpisały zawieszenie broni na 14 dni. Równocześnie zaś rozpoczną się rokowania pokojowe, które będą prowadzone w Londynie. Warunki zawieszenia broni postanawiają, że wojska obu stron walczących pozostają na swych stanowiskach, które w chwili podpisania ugody zajmowały. Następnie dwie twierdze oblężone, Adryanopol i Skutari, mają otrzymywać żywność począwszy od dziesiątego dnia po zawieszeniu broni i to tylko na jeden dzień.

Codziennie komendanci twierdz muszą przedkładać wykaz ludności znajdującej się w twierdzach i będą otrzymywali odpowiednie racye żywności.

O ile ty pertraktacye pokojowe nie doprowa-



Fotografia na usługach wojny: Ustawiony przyrząd do wyrzucania rakiet z aparatem fotograficznym.



Fotografia na usługach wojny: Moment wystrzelenia rakiety fotograficznej



Fotografia na usługach wojny: Zdjęcie okolicy, dokonane aparatem fotograficznym przymocowanym do rakiety.

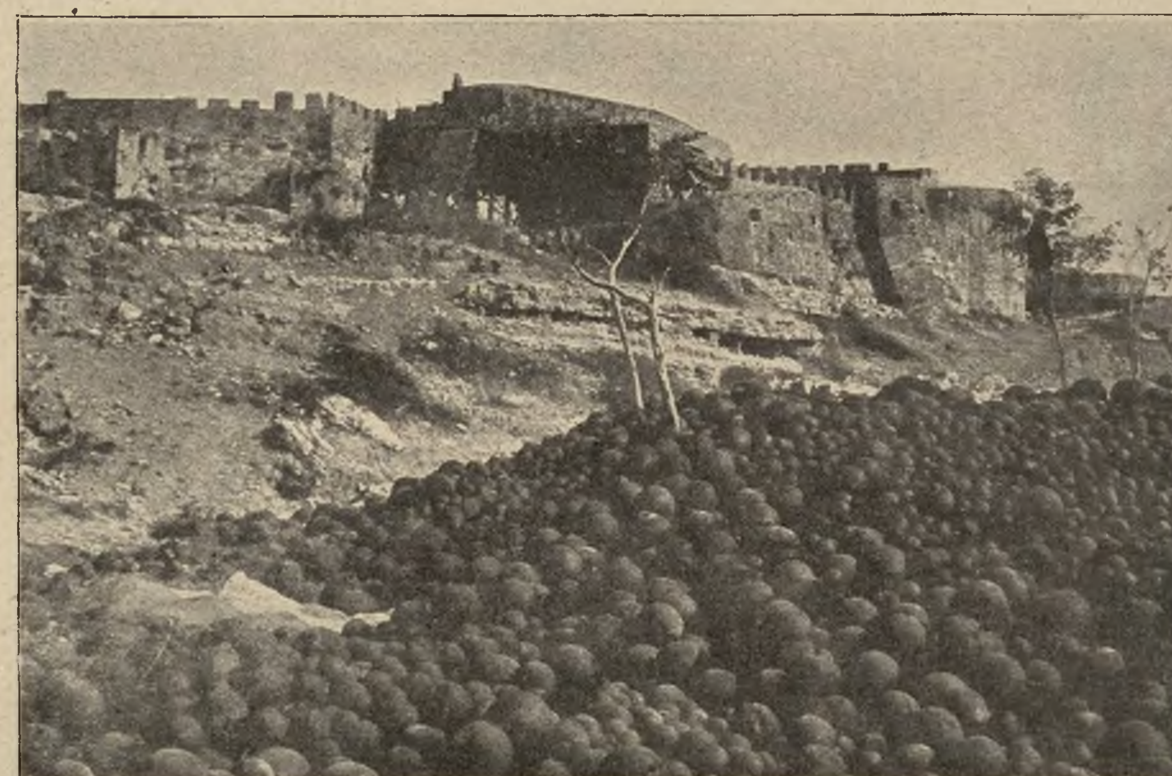
dziły wnet do zamierzonego celu, wojna będzie znowu podjęta.

Państwa bałkańskie jednak nie wszystkie podpisały ugodę o zawieszeniu broni. Grecya odmówiła swego udziału i oświadczyła, że wojnę dalej prowadzi. Jak się pokazuje, stanowisko Grecyi jest wynikiem cichego układu między państwami bałkańskiemi, które w ten sposób zabezpieczyły się przed tem, aby Turcya nie czyniła dalszych przygotowań wojennych. Grecka flota, operując na morzu Egejskiem, ma za zadanie nie dopuścić do dowozu żywności i węgla dla Turcyi, oraz ma udaremnić przewóz wojsk tureckich z Azyi.

Tak więc koło Janiny i na terenie Albańskim, gdzie operują wojska greckie, walki trwają dalej.

Zarazem flota grecka zajmuje coraz nowe wyspy należące do Turcyi, tak iż wkrótce Grecya stanie się wyłączną posiadaczką wszystkich wysp na morzu Egejskiem.

Bliski koniec wojny Turcyi z państwami bałkańskimi wysunął na arenę przetargów politycznych inne jeszcze kwestye. Rumunia, która przez cały czas kampanii wojennej zachowała dla Bułgaryi życzliwą neutralność, obecnie wystąpiła z żądaniem odszkodowania za swe milczenie. Domaga się mianowicie, aby Bułgarya odstąpiła jej pas północny kraju, celem uregulowania granic.



Po zawieszeniu broni: Twierdza turecka w Mytilene, na zajętej przez Greków wyspie Lesbos. Na fronc e mnóstwo kul armatnich, pochodzących z dawnych walk.

Również o posiadanie Saloniki wybuchły spory między Bułgaryą a Grecyą. Spory te przybrały formę tak ostrego zatargu, iż przypuszczano, że nastąpi zerwanie stosunków dyplomatycznych między obu państwami.

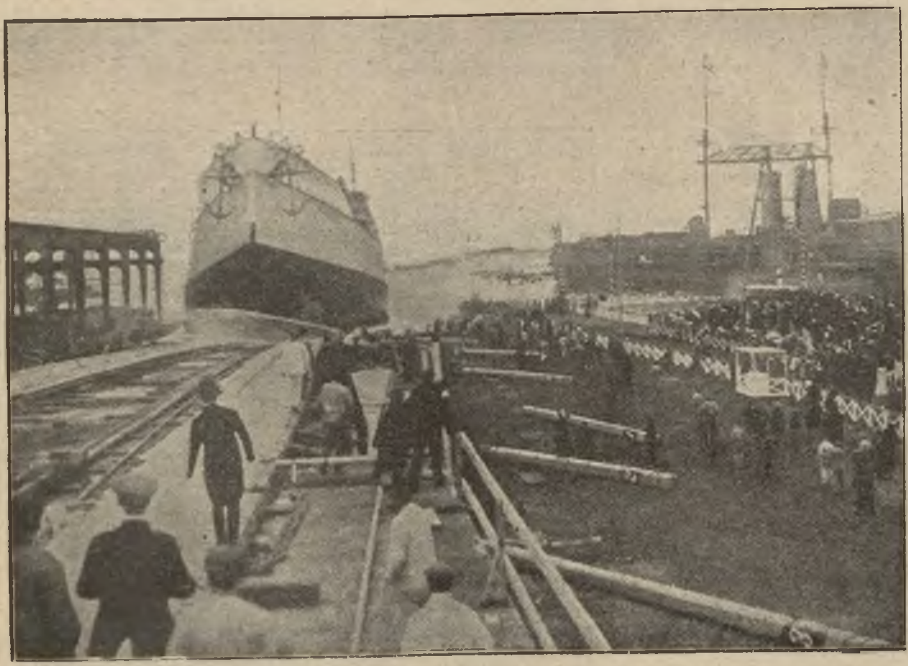
Przeciw ostrzeliwaniu Valony przez Grecyę zaprotestowała znowu Austrya i Włochy.

Najostrzejszy zatarg gotuje się jednak z powodu obsadzenia przez Serbów portu Durazzo nad Adryatykiem. Port ten istotnie wbrew protestom Austryi zajęli Serbowie i nie mają zamiaru z niego ustąpić.

Wobec tego zawierucha bałkańska zaczyna na-



Po zawieszeniu broni: Wojsko bułgarskie obozuje pod Adryanopolem.



Potęga Austryi na morzu: Spuszczenie na wodę nowego „dreadnoughta“ austryackiego „Arcyksiążę Eugeniusz“.



Potęga Austryi na morzu: Duchowieństwo poświęca w porcie tryesteńskim nowy „dreadnought“ austryacki.

bierać cech zatargu europejskiego. Stosunki Serbii z Austryą są tak naprężone, iż lada chwila może przyjść do wybuchu.

Serbia na gwałt wycofuje swe wojska z Turcyi i przerzuca je na północ ku granicy austryackiej, a prasa serbska energicznie bije w dzwon wojenny. Jedno zawieszenie broni grozi rozpętaniem ruchu zbrojnego po innej stronie.

Zawieszenie broni na Bałkanach nie rozwiało bynajmniej chmur wojennych, gromadzących się na horyzoncie polityki europejskiej.



Po zawieszeniu broni: Bułgarscy oficerowie studyują plany pozycyi tureckich.

Czterdziestolecie pracy kobiecej.

W roku bieżącym upłynęło 40 lat odkąd dopuszczono kobiety do pracy przy pocztowych urzędach w Austryi. Rocznicę tę upamiętniono uroczystymi obchodami we Wiedniu, Pradze i t. p. a Stowarzyszenie Urzędniczek pocztowych urządziło również obchód w Krakowie. Głównym momentem tej uroczystości był jubileusz p. Józefy Waszak, która pierwsza z grona urzędniczek pocztowych w Galicyi wysłużyła lat 40.

Rano o godz. 11 w pięknie przystrojonej zielenią i kwiatami sali radca dworu Biliński wobec naczelnych władz i całego personalu wręczył jubilatce w dowód uznania medal honorowy od rządu. Przemówiwszy w pięknych i podniosłych słowach, oddał hołd niestrudzonej pracy tej „najpilniejszej z pilnych“, która w ciągu lat tylu stanowiła wzór obowiązkowości, wytrwałości i koleżeństwa.

Po południu tegoż dnia odbył się uroczysty obchód w klubie pocztowym, który zgromadził liczne grono koleżanek, kolegów i zaproszonych gości. Pierwsza przemówiła przewodnicząca Stowarzyszenia Urzędniczek pocztowych galicyjskich, p. Habichtówna, która przedstawiła dzieje i stopniowe reformy w 40 letniej pracy kobiet na poczcie.

Z kolei nastąpiły serdeczne i piękne przemówienia licznych delegacyj pracujących kobiet z kraju, przyczem wręczono jubilatce wspaniałe wiązanki kwiatów. W końcu zabrała głos jubilatka, dziękując



Po zawieszeniu broni: Szef bułgarskiego sztabu jeneralnego pod Czataldżą podpisuje rozkaz o wstrzymaniu kroków wojennych.



Czterdziestolecie pracy kobiecej: P. Józefa Waszak, która pierwsza z grona urzędniczek pocztowych w Galicyi wysłużyła lat 40

ze wzruszeniem za okazane jej dowody życzliwości i uznania.

Na uroczystość jubileuszową nadeszły również w wielkiej liczbie listy i telegramy z rozmaitych stron Austryi, a między innemi od prezesa Koła polskiego dra Lea i wielu posłów.

Potęga Austryi na morzu.

Mimo, iż granice Austro-Węgier tylko obszarem stukilkunastu mil dotykają wybrzeża morskiego, mocarstwowe stanowisko państwa wymaga utrzymania odpowiedniej floty wojennej, któraby zapewniła Austryi uznanie jej wpływów na morzu Śródziemnem przez inne państwa Europy.

Podstawą nowożytnych flot wojennych są olbrzymie dreadnoughty, które stanowią ostatni wyraz tego, co jest istotą okrętu wojennego. Olbrzymie armaty, wielki kadłub i kilka tysięcy załogi, oto obraz takiego nowego potwora morskiego.

Austro-Węgry posiadają już dwa takie okręty: „Viribus unitis" i „Tegetthoff". Obecnie zaś przed kilku dniami spuszczono na wodę w Tryeście trzeciego kolosa „Arcyks. Eugeniusz". W uroczystości uczestniczyła jako matka chrzestna okrętu arcyksiężna Marya Krystyna.



Po zawieszeniu broni: Oficerowie bułgarscy pod Czatadżą po wstrzymaniu kroków wojennych spędzają czas na pogawędce przy śniadaniu.



Dramat dwóch sióstr: Zastrzelone we Lwowie siostry przyrodnie Michalina Bogucka i Teodora Molikiewiczówna.

Z życia Warszawy.

Powszechna demokratyzacya położyła swoje piętno i w życiu towarzyskiem, które obchodzi się dziś doskonale bez prywatnych salonów, zbyt kosztownych i krępujących... Życie towarzyskie ogniskuje się obecnie w stowarzyszeniach, klubach i kawiarniach, których liczba wciąż wzrasta, obejmując coraz liczniejsze sfery... Ten prąd, zrodzony na Zachodzie, ogarnął już i miasta polskie, wśród których pod względem życia klubowo-towarzyskiego kroczy w pierwszym rzędzie i Warszawa. Wśród mnóstwa istniejących tam stowarzyszeń o charakterze towarzyskim, cieszy się ogólną sympatyą warszawskie Tow. artystyczne, którego siedziba stała się obecnie ulubionem miejscem zebrań inteligencyi warszawskiej. Tak zwane „czarne kawy" dają okazyę do popisu różnym mistrzom i mistrzyniom estradowym, których popisom przysłuchują się zarówno członkowie Towarzystwa, jak i goście, zawsze mile widziani w lokalu Stowarzyszenia...



Z życia Warszawy: „Czarna kawa" w warszaw. Tow. artystycznem. (X) Prezes stowarzyszenia p. Ryszkiewicz. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

14)

W oszołomieniu ducha pochwycił Saint Règeant i pojął przedewszystkiem wyrazy: Aresztują na wsze strony. Musiał więc myśleć naprzód o schronieniu. Poszedł, jak postanowił, do magazynu Lerebourg'a. Zbliżała się dziewiąta. Zapukał do drzwi od podwórza. Na zapytanie odźwiernego: do kogo? Odpowiedział: do obywatela Lerebourga. Mimo ciemności poznał go odźwierny i odezwał się:

— A, to obywatel Leclerc! — Proszę wejść. Pan wyszedł dowiedzieć się, co słychać na mieście, lecz obywatelka Lerebourg jest w domu... Czy wiecie, co się właśnie stało?

— I owszem. Ktoś chciał zabić pierwszego konsula.

— A to zbóje! Nikt inny, jak teroryści! Przepędzić ich należy!

Saint Régeant był już na schodach, wiodących do prywatnego mieszkania kupca. Zadzwonił do drzwi. Otworzyły się natychmiast i w słabem świetle przedpokoju zjawiła się Emilia. Westchnęła głęboko, ręce ku niebu wzniosła, jakby mu dzięki składała. On zaś, bliski omdlenia, na krzesło opadł. Emilia zamknęła drzwi, ujęła go w ramiona i szybko mówić poczęła:

— Sama tu jestem. Męża oddaliłam, pod pozorem ciekawości, by zasięgnął języka. Tajemna jakaś nadzieja mówiła mi, że cię ujrzę. Boże mój, to okropne, cały jesteś we krwi. Coś ty, nieszczęsny, uczynił? — Krzyk ten, zgiełk, wszystkie te krzyki! ...ty to sprawiłeś... Sam omal nie poległeś... Tu zostać nie możesz... Pójdź na drugie piętro. Niema tam nikogo... Chłopiec sklepowy wziął urlop do jutra. Nie patrz tak na mnie... Myślałby kto, że lada chwila skończysz.

Saint Régeant tracił przytomność. Cuciła go troskliwie i pieszczotliwie zarazem. Podtrzymywała go z całej siły.

— Pierwsza rzecz, dostać się do pokoju, gdzie się położysz. Tutaj nikt cię szukać nie będzie... Przez noc wrócisz do sił... Jutro omówimy, co będzie dalej... Jakaż to radość, najdroższy, że uniknąłeś niebezpieczeństwa!... Chodźmy prędzej. Lada chwila mąż powróci... Powinien zastać cię już ulokowanego.

Łagodnie, ostrożnie, zwolna i bez szelestu prowadziła go na piąterko, gdzie mógł być bezpieczny.

XII.

Zatrzymawszy się u wejścia do opery, pierwszy konsul wszedł do przedsionka i ani okiem nawet na powóz nie rzucił. Zajął swą lożę w towarzystwie Lannes i Bessières. Na korytarzach ani jednej osoby, oratoryum już się rozpoczęło. Na scenie byli przedstawiciele ról głównych, Garat i pani Barbier Valenne. Bonaparte zatrzymał się w salonie za lożą i z oczyma utkwionemi w obu generałów rzucił pierwsze słowa, dotyczące minionego wypadku:

— Ci śmiałkowie chcieli wysadzić mię w powietrze. — Potem dodał z wspaniałym spokojem:

— Bessières, proszę Was, przynieście mi libretto.

Jednocześnie weszła do loży Józefina, blada, z plamami krwi na szatach, za nią Hortensya, odłamkiem szkła lekko w twarz skaleczona, a Karolina Murat bez szwanku. Józefina do męża przypadła i chwyciła go za ramię:

— Zyjesz! Nic ci się nie stało! To cud prawdziwy. Widziałyśmy powóz twój w płomieniach. A my, o dwadzieścia kroków za tobą, mamy wszystkie szyby karety wybite.

— Bardzo się przeląkłaś, moja droga.

— O ciebie tylko, kochanie. — Hortensya krzyczała z bólu. Miała bowiem przecięty policzek. Pani Murat dzielnością dorównuje mężowi... Zresztą zapewnił nas pułkownik Rapp, że o ile nie trafi pierwszy pocisk wybuchu, nic już nie grozi.

— To sprawka tych nikczemnych terorystów — gniewnie powtarzał Bonaparte.

Tymczasem nagłe poruszenie przebiegło widownie, odezwały się szepty. Udzielano sobie przyniesionej z miasta wiadomości o zamachu i widzowie niepomiernie chciwiej chwytali nowinę dnia, niż akcyę dramatyczną, rozgrywającą się na scenie, pomimo nawet ukazania się na scenie słynnego Garat'a, bożyszcza bywalców teatralnych. Bonaparte wymiarkował nastrój ogółu, a w tejże chwili niby uosobienie ogólnego poruszenia, stanął we drzwiach loży Bessières z programem w ręku i przemówił:

— Generale, rozeszła się pogłoska,. że jesteście raniony. Trzeba pokazać się widowni.

Konsul kilka kroków postąpił, wysunął się na przód loży. Na ciemnem tle ściany, w obramieniu aksamitnej draperyi, ukazała się jego wspaniała, monarsza głowa, obecnie bardzo blada.

Od parteru, aż do sklepień sali podniósł się potężny okrzyk. Co tylko było, powstało z wołaniem: Niech żyje Bonaparte! Kobiety oklaskiwały go. Muzyka umilkła. Dla tego tysiąca paryżan, reprezentujących kraj cały, nie istniało chwilowo nic, poza cudownem ocaleniem tego opatrznościowego człowieka, na którym skupiły się wszystkie nadzieje Francyi. Konsul uśmiechnął się, skłonił się głową, podziękował ruchem ręki i zasiadł. Obok niego zajęła miejsce Józefina, Hortensya i Karolina. Przedstawienie odbywało się w dalszym ciągu. Nie przykuło jednak niczyjej uwagi, nie rozbudziło zajęcia. Garat grał swą rolę niezwykle słabo, pani Barbier z widocznem roztargnieniem. Oboje odczuwali doskonale, że nikt ich nie słucha. Pierwszy akt zakończono oklaskami, rzucanemi jedynie z przyzwyczajenia, bez zapału. Skoro tylko kurtyna zapadła, ruch niesłychanie ożywiony zawrzał na korytarzach, gdzie ludzie zbili się w grupy. Na przedstawieniu był licznie reprezentowany świat oficyalny. Real, Thibaudeau, Lebrun, rzucili się do loży konsularnej. Cambaceres ze swego proscenium przewiercał wprost wzrokiem biednego Dubois, a biedny prefekt policyi trapił się ogromnie przewidywaniem, że epilog zajścia będzie dla niego najsmutniejszy. Brakowało natomiast Fouche'ego! Réal zwrócił na to uwagę Bonapartego, chytrze a zarazem zgryźliwie.

— Minister policyi był prawdopodobnie tak daleki od przypuszczenia tego co zaszło, że śpi w tej chwili snem sprawiedliwego...

Pierwszy konsul udał, że słów tych nie słyszy. Lecz blada twarz zszarzała zupełnie, zagryzione gwałtownie wargi skryły się całe. W samą porę nadszedł Cambaceres, wiodąc za sobą nieszczęsnego Dubois. Nieborak kurczył się, jak mógł, by ujść oka władcy.

— Widzicie, Cambacerès — odezwał się Bonaparte — niewiele brakło, a bylibyście pierwszym konsulem.

— W twojej, generale, osobie, doznała Francya dowodu niezwykłej, a cudownej opieki Opatrzności.

Mimo namaszczenia, z jakiem słowa te były wyrzeczone, odtwarzały one trafnie współczesną myśl wszystkich obecnych, przyjęto je też z uznaniem. Józefina, złożyła ręce i wyrzekła śmiało:

— Dla nas Bóg na cud zezwolił.

Działo się to w towarzystwie kilku Jakóbinów, którzy głosowali za śmiercią króla i mnóstwo księży wysłali na gilotynę. Ani jeden nie sarknął. Jeden tylko Lannes mruknął ze swego kąta: „Chciałbym wiedzieć, co to ma wspólnego z Bogiem“. Za to Bessères, gładszy dyplomata, trącił kolegę łokciem, by zamilkł. Cambacerès znów rzecz podjął:

— Generale, czy zostaniecie do końca przedstawienia?

— Nie, wracam zaraz do Tuileryi. Was, Cambacerès, proszę z sobą. Poślijcie po obywatela Fouché, ty, Józefino, zostań, jeżeli masz ochotę. Zostawię ci Bessierès'a i Rappa.

— Nie! Słuchanie muzyki nie sprawiłoby mi obecnie żadnej przyjemności. Co więcej, Hortensyi trzeba koniecznie opatrzyć ranę. Ja sama na widok krwi na mej sukni, wstrętu stłumić nie mogę. I nie chcę rozstawać się z tobą.

— A zatem zabieramy się do odwrotu.

Sam przeszedł korytarze teatru, zostawiając za sobą rodzinę, generałów, ministrów, urzędników. Na jego drodze odsłaniały się wszystkie głowy, a z daleka już obsypywano go oklaskami. Kroczył poważnie, spokojnie, skromnie, w zwykłym mundurze, niemal zupełnie bez ozdoby, co stanowiło bardzo wyraźny kontrast z świetnymi uniformami całej świty. Uśmiechem obdarzył jedynie żołnierza na warcie, który przed nim sprezentował broń z wyrazem szczerej, prostej radości. Za to po powrocie do Tuileryi nastąpił wybuch. Tu już nie uważał za potrzebne krępować się i mierzył gwałtownymi krokami salę parterową, z tą gwałtowną potrzebą ruchu, która występowała u niego przy każdem silniejszem wzruszeniu.

— Dam im straszną naukę! —krzyczał.—Dokoła mnie musi panować pokój, nie dopuszczę, by tysiące ludzi, którzy mię chcą ujrzeć na ulicach miasta, ginęło niewinnie. Nie o mnie tu chodzi. Biorąc na siebie władzę, wziąłem z nią wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie ona naraża. Wiem bardzo dobrze, iż nienawidzą mię zarówno rewolucyoniści, jak i bandyci. Jednym zawadzam, bo wymagam ładu i spokoju. Drudzy mają mi za złe, że nie ustępuję miejsca ich królowi. Lecz ja zdepczę, zgniotę wszystkich, tak czarnych, jak i białych. Kara, jaką im zgotuję, będzie tak odstraszającym przykładem, że nie odważą się na nowe próby!

Stanął, by dech złapać. W salonie zaciężyło ponure milczenie. Nikt nie śmiał odpowiedzieć, choć były tam pierwsze osobistości państwa. Napoleon podjął spacer po pokoju i głos znów zabrał.

— Czwarty to raz w ciągu roku nastają na me życie. Będzie to zarazem ostatni. Przekonany jestem, że teroryści do tego przyłożyli rękę. Nie dawniej, jak tymi dniami, mówiłem o tem Fouche'mu. Nie wierzył mi, lecz ma swe racye po tem. Winnymi są jego dawni towarzysze, z niejednym do dziś dnia żyje w przyjaźni.

Drzwi u wejścia otwarły się. Ogólne osłupienie. Nawet Bonaparte stanął i umilkł. W pokoju zjawił się ten, na kogo wydano tutaj wyrok potępiający. Zlękany, blady, ponuro patrząc przed siebie, zbliżał się Fouché do władcy. W odległości dziesięciu kroków zgiął się w niskim ukłonie i czekał pierwszego słowa. Bonaparte oczy przymknął, jakgdyby w wewnętrznem skupieniu, stał chwilę nieruchomo, potem poruszył się gwałtownie, twarz nabrała życia, chwycił Fouché go za rękę i pociągnął do najdalszego kąta, jak gdyby nie chciał, by ktokolwiek inny słyszał jego słowa.

— Ot co! Widzicie, jak słuszne były me obawy! Moje wiadomości więcej warte, niż wasze! Bez mała dopuściłeś do pozbawienia mię życia. Możesz sobie powinszować, że ocalałem szczęśliwym trafem. Gdybym był zginął, lud rozniósłby cię w drobne kawałki.

Fouché przybrał minę, która doprowadziła Bonapartego do ostateczności. Zostawił ministra w kącie i podjął marsz po sali.

— Twoja policya, datująca się z dawnych czasów, jest głupia. Trzymacie się wiecznie systemu Lenoir'a. Powołam w najbliższym czasie na twe miejsce pierwszego lepszego żandarma. Zobaczysz, jaki wówczas nastanie porządek. Po dziesięcioletnich przejściach kraj potrzebuje koniecznie pokoju. Spodziewa się go odemnie, a ja nie zaniecham mego obowiązku, zabezpieczę go od dalszych wstrząśnień. Gnębić będę bez litości wszystkich intrygantów, wszystkich agitatorów. Nie pozwolę frymarczyć bezpieczeństwem ogółu i pociągnę do odpowiedzialności, czy to jako nieudolnych, czy to jako zdrajców, tych wszystkich, którzy nie umieją nic przewidzieć, lub nie chcą złemu zapobiedz!

Słowa te były dla Fouche'go wyrokiem niełaski i poniżenia; ich skutkiem było ogólne odsunięcie się od ministra. On zaś, niewzruszony, zdawał się nie słyszeć gróźb pierwszego konsula. Oparł się o kominek i czekał, aż burza minie. Łatwo było już wyczuć, że słowa Bonapartego są więcej rozważne, że gniew uspakaja się powoli. Znów przemówił.:

— Mnie w pole wyprowadzić nie łatwo. — Do tego nie przyłożyli ręki ni szuanie, ni emigranci, ni ex szlachta, lub ex księża. Znam sprawców zamachu i będę ich miał w ręku.

Mówiąc to, patrzył pilnie w Fouché'go. Były członek Konwentu przygryzł wargi i głową zaprzeczył. Bonaparte rzucił się na niego, zupełnie nie panując nad sobą, w oczach zapaliły się błyski:

— Przeczysz! Wiesz lepiej odemnie! Mówże!

Sami byli na uboczu, w odosobnionym kącie obszernej komnaty, a choć wystawieni na oblężenie ciekawych spojrzeń, niedostępni dla ciekawych uszu. Fouché zdecydował się na odpowiedź:

— Wiem, kto działał. Jeszcze tego tygodnia będę miał sprawców w mym ręku. Gdyby nie przypadek, który każdego trafić może, byliby ujęci przed wykonaniem niegodziwego zamysłu...

— Zawsze upierasz się przy rojalistach z pod znaku Jerzego?

— Dalszy bieg wypadków potwierdzi me zdanie.

— Strzeż się, Fouché, byś nie zadrwił ze mnie! Za to pójdziesz, jak inni, do Sinnamari (kolonia karna).

— O siebie, generale, jestem spokojny. Jestem najzupełniej pewien swego. Niemniej nie omieszkam wywiedzieć się o osoby, na które tu rzacono podejrzenie. Jest tu garstka niedobitków obozu rewolucyjnego, stale wzburzona i niebezpieczna dla nowego porządku.

— Widzisz więc sam! Jakto, i ci ludzie mogą zbierać się bezkarnie, naradzać?... Ich punktem zbornym są loże masońskie... Wiesz dobrze o tem! Wszyscy pójdą na zesłanie. Jutro wygotuje Rada stanu odnośny dekret... Nie postawię nowych szafotów, ale zarazę tę muszę wyplenić.

W czasie tej rozmowy drzwi otwierały się wciąż i zamykały, przepuszczając urzędników, oficerów, którzy zjawiali się dla zaznaczenia swej gorliwości i oddania, aż ukazał się i prefekt policyi, Dubois. Był on kozłem ofiarnym Fouchégo; minister drwiąco wskazał go Bonapartemu. Pierwszy konsul wezwał go do usprawiedliwienia się, i nie słuchając z trudem wykrztuszonych frazesów oficyalnych, napadł go gromiąc:

— Nie od was zatem zależało powodzenie tych zbirów! Jakżeż mogli się wystarać o proch w ilości dostatecznej do wysadzenia w powietrze całej dzielnicy? Obywatelu Dubois, gdybym ja był prefektem policyi i doczekał się czegoś podobnego, skonałbym ze wstydu!

Pokazał plecy zgnębionemu dokumentnie urzędnikowi. A jakgdyby ostatecznie dał upust swej pasyi, zwrócił się spokojniej do Fouchégo.

— Weź się zaraz dzisiaj do roboty. Trzeba bezzwłocznie uspokoić ludność miasta. Pamiętaj jednak, że nie uwierzę w twą szczerą gorliwość, póki nie dokonasz swego.

Fouché pożegnał go ukłonem i po przez tłum dworaków, który usuwał się z drogi, dostał się do przedsionka. Tam czekał nań przyboczny sekretarz, Villiers. Wsparty na jego ramieniu, spokojny, jakby się cieszył szczególną łaską władcy, wsiadł do powozu. Wtedy rzekł Villiers'owi:

— Zdawało się, przez chwilę, że mnie połknie. Gdybym mu był się sprzeciwił, kazałby mnie niechybnie aresztować... Nawet i teraz...

Villiers pokazał ukryte pistolety:

— Przewidywałem to. — Nie byliby was dostali bez walki.

Posępną twarz Fouche'go rozjaśnił uśmiech. Zwrócił się przyjaźnie do towarzysza:

— Sprzyjasz mi, Villiers?

— Tak jest, obywatelu ministrze!

Znikł uśmiech Fouché'go:

— A prawda, jestem ministrem.

Zdawał się namyślać, a potem zawołał na woźnicę i kazał mu stanąć.

— Udasz się natychmiast — polecił Villiers'owi — do szpitala de la Pitie! Zbudź dyrektora. Powiesz mu, żeś odemnie. Zapytasz o zdrowie niejakiego Braconneau, ugodzonego kulą w piersi. O ile jeszcze żyje, dasz mi znać natychmiast. W takim razie udam się sam jutro rano dla wybadania tego człowieka. Rozkażesz dyrektorowi zarządzić wszystko, byle chory mógł mówić.

Sekretarz wysiadł, a Fouché wrócił do siebie.

Gdy te wydarzenia poruszyły całe Tuilerje, obywatel Lerebourg, zaskoczony odebranemi po drodze wieściami, przerażony widokiem ulicy du Chartres, powrócił jak najspieszniej do domu, by donieść żonie o masakrze, która trupami zasłała drogę pierwszemu konsulowi. Emilia przyjęła go z miną wielce tajemniczą. Na jego okrzyki nakazała milczenie, a na pytającą minę zaciągnęła go do pokoju. Tam, pewna, że prócz męża nikt jej nie usłyszy:

— Podczas twej nieobecności zaszła rzecz straszna.

— Cóż takiego!

— Zaszedł do nas Wiktor Leclerc, skrwawiony, ledwo się trzymał na nogach.

— Nieszczęśliwy! Zapewne odniósł ranę w tej strasznej katastrofie!

— Nie mogłam zostawić go przed drzwiami, był bez sił... Zaprowadziłam go do wolnego pokoju na drugiem piętrze.

— Zrobiłaś bardzo dobrze! Czy posłałaś po lekarza?

— To niemożliwe!

— Dlaczego!

— Nie wiesz jeszcze, w czem leży cała groza. Obywatel Leclerc jest skompromitowany i gdyby się wydała obecność jego tutaj, mogłby sam być narażony na wielkie niebezpieczeństwa, a i na nas ściągnąłby przykrości.

— Moja lojalność jest dobrze znana — zawołał Lerebourg.

— Ciszej — rzekła przerażona Emilia. — Idzie tu o jego głowę.

— Jakto, na Boga, czyżby tak poważny chłopiec bawił się w spiski?

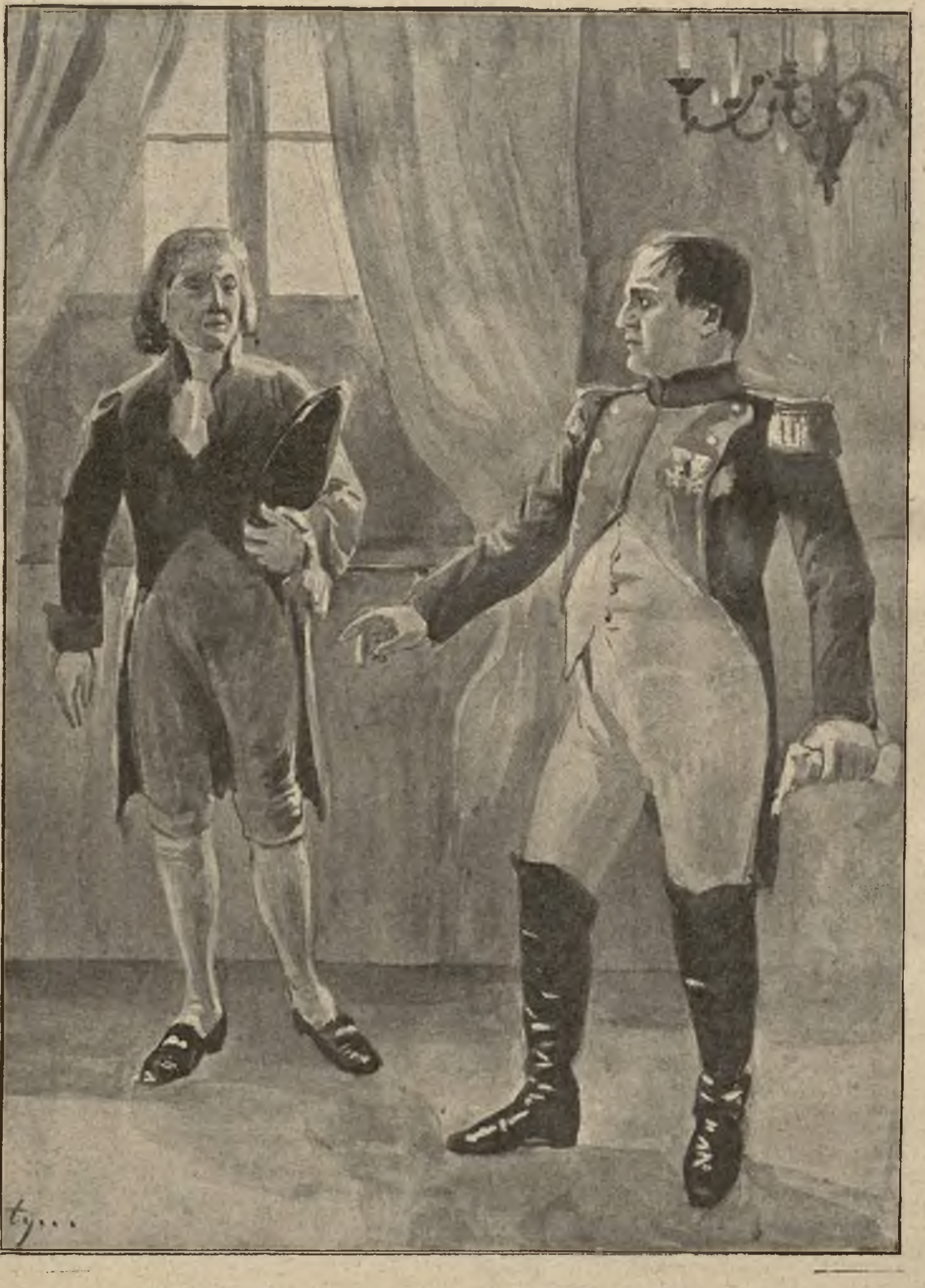
— Wciągnięto go, uległ zgubnym wpływom... Zresztą, nie pora mówić o tem, co niepowrotne: brał udział w dzisiejszym zamachu.

— On, tak miły i łagodny! Jakże nas zawiódł! — Przecież to potworna zbrodnia. Ludzi w kawałki poszarpało... Ofiary w dzieciach, kobietach... I on, Leclerc, rękę do tego przyłożył? To nie do uwierzenia!

— Sprawa przedstawia się prosto. Jeżeli go wydalimy, niechybnie zgubiony. Nim dojdzie do rogu ulicy, wpadnie w ręce policyi, która przeszukuje dzielnicę.

— Któż mówi o wydaleniu go? Mogę potępiać niegodziwy czyn, ale od tego, do wydania go... Bo znaczyłoby to wydać go na zgubę...

— Istotnie. Lecz i tu zostać nie może. Obecność jego wydałaby się do jutra. Hieronin, który dziś, szczęśliwym trafem, nie nocuje w domu, jutro spostrzeże, że ma sąsiada. Mógłby się wygadać i wyda się wszystko. Jutro rano musimy stąd wyprawić Leclerc'a.



— Twoja policya, datująca się z dawnych czasów, jest głupia...

— Gdzież się podzieje?

— Uda się do pewnego schronienia, dokąd nie miał siły dostać się dzisiaj; ty go tam jutro odwieziesz.

— Jakim sposobem?

— Każę Hieronimowi iść rano po dorożkę, a następnie wyślę go na posyłki. Powóz zajedzie na podwórze, przed tylne schody, tamtędy sprowadzimy i usadowimy w powozie Leclerc'a. Panien sklepowych jeszcze nie będzie, będziemy mieli swobodę ruchów. Ty wsiędziesz na kozioł, każesz jechać na ulicę du Dragon, róg Huchette. Tam wysiędzie Leclerc, a ty powrócisz, nie troszcząc się o niego więcej.

— A jeżeli, duszko, zatrzymają mię w drodze?

— Zbyt cię tu znają, by się do tego posunąć. Któż się spostrzeże, zwłaszcza, że to tak daleko od miejsca zbrodni? Zresztą, trzeba się na to odważyć, byle się wydobyć z kłopotliwego położenia.

— To prawda! Do dyabła z tym Leclerc'iem! Ktożby się tego po nim spodziewał. Ciche to, jak panienka. Podobno to terrorystów robota. Więc on z nimi?

— Nie! To rojalista. Mówił mi o wszystkiem. Chcieli usunąć Bonapartego i przywrócić króla.

— Szaleństwo! Czyż śmierć Ludwika XVI niczego ich nie nauczyła! Już z królestwem nie zobaczy się Francya; nam trzeba takiego człowieka, jak Bonaparte. Przykro mi, iż pomyliłem się co do Leclerc'a. Uważałem go za bardzo pewnego w interesach, a on spiskuje... I komu tu wierzyć!

— Chcesz go widzieć?

— Rozumie się!

— Chodźmy tedy ostrożnie. Owiązany, omyty, leży w gorączce.

— Więc to rana poważna?

— O mało nie stracił prawej ręki.

— Biedaczysko!

Takto Lerebourg, który gromił zrazu czyn Leclerc'a, doszedł czysto humanitarnym odruchem do współczucia z rannym sprawcą. Weszli na piąterko, gdzie na polowem łóżku leżał blady z utraty krwi Wiktor Leclerc. Chciał podnieść się na widok Lerebourg'a, a wówczas straszny ból wykrzywił mu twarz. Emilia ujęła go za ramię i ostrożnie położyła.

— Proszę się nie ruszać. Trzeba leżeć bez ruchu, by nie popsuć opatrunku. Mąż mój przyszedł tu, by wyłajać pana.

— To kiedyindziej — przerwał poczciwy Lerebourg, litością tknięty na widok rannego. Gdy będzie mógł wysłuchać mię... Na razie trzeba mu spokoju... Jakto źle, że nie może u nas zostać... Po dwóch tygodniach byłby zdrów, jak ryba... Lecz trudno... Ach, Leclerc, poco było się mięszać w takie zbrodnicze awantury! A ja wam tak ufałem! Dziś w nic wierzyć nie można!

— Ależ, mój drogi — przerwała pani Lerebourg.

— Tak, masz słuszność... Zapędziłem się! Lecz wina jego wielka! Zresztą... Postaramy się wywikłać go... Dobranoc... Próbujcie usnąć!

— Zostanę przy nim. Wróć sam — powiedziała Emilia łagodnemu mężowi. — Ja przyjdę wkrótce.

Po powtórnych serdecznych uwagach Lerebourg wrócił do siebie, a Emilia, zasiadłszy przy rannym, ujęła dłoń jego w swoje, usiłowała uspokoić go, dodać odwagi, tchnąć nadzieję. Pod jej wpływem, pod czarodziejskiem działaniem uczucia, następowało zwolna uciszenie w podnieconym stanie Saint-Régeant'a. Krew cichła, nerwy się wygładziły, popadał w błogą bezwładność. Emilia widziała, jak powieki jego walczyły ze znużeniem, oczy się zawarły, oddech stał się powolniejszy i sen, dając ulgę w bólu, przyniósł zapomnienie obawy. Wówczas młoda kobieta opuściła zwolna jego rękę, powstała cicho i wyszła, zabierając klucz od pokoiku. Nie położyła się jednak, lecz dała się unieść myślom. Porwana nagłym wirem błyskawicznie po sobie następujących wypadków, nie miała czasu zastanowić się nad nimi. Pierwszą, najpilniejszą rzeczą było zabezpieczenie przytułku nieszczęśliwemu, który stanął u jej progu z prośbą o pomoc. Lecz teraz, gdy wzięła pod rozwagę czyn Saint-Régeant'a, doznała bolesnej zgrozy.

Niewypowiedzianym wstrętem przejęły ją szczegóły wypadku, przyniesione przez męża. W jej oczach, niemożliwą było rzeczą, niedopuszczalną, dokonać zabójstwa jednostkowego w jakichkolwiek okolicznościach, w jakimkolwiek celu, a cóż dopiero sprowadzić taką rzeź, która trupami zbryzgała ulice Paryża! I to ukochany przez nią człowiek dopuścił się tej potworności! A ona, miast znienawidzić go, wydać na łup zemsty publicznej, kochała go jeszcze i myślała jedynie o jego ocaleniu. Smutek bez miary przytłoczył jej myśli, gdy to pojęła. Czuła się współwinną. Co więcej, uważała się za odpowiedzialną przez pół za to przestępstwo, ponieważ zapobiegała zadośćuczynieniu. Myślała, że odpowiedzialność jej jest ogromną, że ją będzie musiała krwawo opłacić. Winy takiej bezkarnie dźwigać nie mogła. A przewidywała takie straszne kary, że zdrętwiała na to wyobrażenie i łkała z przerażenia. Czyż mogła jednak wygnać Saint Régeant'a, skoro u niej szukał schronienia?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przesilenie ministeryalne w Austryi.

Swiat polityczny austryacki został zelektryzowany niespodziewaną wiadomością. W chwili, kiedy panuje powszechne przekonanie, iż między Autryą a Serbią przyjdzie do zbrojnego starcia, ustąpił ze swego stanowiska minister wojny gen. Auffenberg i szef sztabu gen. Schemua. Przesilenie to w ministeryum wojny nastąpiło dosyć niespodziewanie, a powodów jego upatrują właśnie w tem, iż do steru wojskowej władzy w Austryi mają być powołani ludzie energicznego czynu. Tekę ministeryalną po gen. Auffenbergu obejmuje szef sekcyi w ministerstwie wojny gen. Krobatin, zaś następcą gen. Schemuy został gen. Conrad von Hoetzendorf. Obaj nowi dygnitarze uważani są za mężów zaufania austryackiego następcy tronu i obaj znani są jako zwolennicy energicznej akcyi.



Przesilenie ministeryalne w Austryi: Jeneralny inspektor armii Conrad von Hoetzendorf, mianowany obecnie szefem sztabu jeneralnego.

Wobec tego zatarg serbsko-austryacki wchodzi w stadyum krytyczne. Sprawa konsula Prohaski jest dotąd niewyjaśniona, a konsul Edl nie powrócił jeszcze do Wiednia. Z chwilą, kiedy powrót ten nastąpi, nowe ministeryum wojny będzie miało wolne ręce do działania, z czego niechybnie skorzysta.

Dyplomatyczne podróże.

(Do illustracyi na str. 2)

Zaostrzona sytuacya międzynarodowa znalazła odgłos w szeregu podróży dyplomatycznych i wizyt, jakie w ostatnich tygodniach podejmowali przedstawiciele dyplomacyi austryackiej. W poprzednim numerze donosiliśmy o wizycie austryackiego następcy tronu w Berlinie. Następstwem tej wizyty było oficyalne odnowienie trójprzymierza, jakie przed kilku dniami nastąpiło w Wiedniu, oraz uroczysta deklaracya kanclerza Rzeszy niemieckiej w parlamencie, mocą której Niemcy zapewniły Austryę o swej zbrojnej pomocy na wypadek wojny.

Drugą podróż dyplomatyczną podjął przedstawiciel generalnego sztabu austryackiego, jeneralny inspektor armii Conrad v. Hoetzendorf, który w specyalnej misyi udał się do Bukaresztu. Austro-Węgrom chodziło bowiem o to, aby w obecnej sytuacyi politycznej zabezpieczyć sobie przyjazne stosunki z Rumunią. Wysłano więc do Bukaresztu gen. Conrada, który, uroczyście tam przyjęty, konferował z szeregiem wybitnych przedstawicieli oficyalnego świata rumuńskiego, jak zapewniają z pomyślnym skutkiem.

Illustracya nasza przedstawia powitanie gen. Conrada na dworcu w Bukareszcie.

Uroczystość strażacka we Lwowie.

(Do illustracyi na str. 3).

I w najspokojniejszych czasach ludzie muszą prowadzić ciągłą walkę z tak groźnym wrogiem, jak pożar. Ci, co występują do boju z tym niebezpiecznym żywiołem — członkowie straży ogniowych — są ciągle w pogotowiu wojennem, zawsze gotowi na wezwanie trąbki pożarnej...

Ich praca, przy której narażają tak często swe zdrowie, a często i życie, zasługuje też na szczególne uznanie. Objawem takiego uznania była też piękna uroczystość strażacka, jaka odbyła się w ubiegłą niedzielę na dziedzińcu ratusza lwowskiego. Po kwartalnym przeglądzie korpusu ochotniczej straży pożarnej, odbyło się rozdanie odznak honorowych, nadanych przez krajowy Związek strażacki zasłużonym członkom straży. Aktu tego dopełnił prezydent m. p. Neuman, który przemówił w serdecznych słowach do szeregów strażackich, a przedewszystkiem do najstarszego zasługami b. naczelnika p. Marcina Majewskiego, któremu upływa lat czterdzieści tej ciężkiej pracy publicznej, poczem wręczył pięknie emaliowane odznaki naczelnikowi Majewskiemu za 40 lat służby, Ludwikowi Gajewskiemu i Janowi Reinowi za 30, Aleksandrowi Borkowskiemu za 25, oraz Wit. Baygerowi i Janowi Nertstheimerowi za 20 lat służby strażackiej.

Imieniem odznaczonych podziękował naczelnik Majewski, który zakończył swe przemówienie okrzykiem na cześć prezydenta i straży ochotniczej...

Illustracye nasze przedstawiają tę piękną uroczystość strażacką podczas mowy przezydenta Neumana i dekorowania odznaczonych strażaków.



Przesilenie ministeryalne w Austryi: Ustępujący minister wojny jen. Auffenberg.

Wystawa lalek w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 4).

Atrakcyę naszych „milusińkich“ w Warszawie stanowi obecnie wystawa zabawek, otwarta w tych dniach w salach Ratusza. Wystawa, która cieszy się ogromną frekwencyą dziatwy, obejmuje wszystkie dziedziny przemysłu zabawkowego, a zwłaszcza w dziale lalek jest bardzo interesującą. Pełno tam okazów prawdziwie artystycznych, a przytem swojskich. Nie ulega też wątpliwości, że wystawa ta ma poważne znaczenie ekonomiczne, bo skłoni publiczność warszawską, aby, czyniąc zakupy na „Gwiazdkę“, uwzględniała przedewszystkiem swojską wytwórczość, która pod względem artystycznym i pedagogicznym stoi o wiele wyżej od szablonowych wyrobów niemieckich.

Z tej interesującej wystawy zamieszczamy grupę lalek, przedstawiającą ostatni akt „Wesela“.



Polacy na obczyźnie: Grupa członków Towarzystwa Polaków pracujących w Monachium.

Kronika tygodniowa.

Konia z rzędem, albo coś jeszcze bardziej wartościowego, n. p. kilogram polędwicy wołowej ofiaruję każdemu, kto mi potrafi wytłumaczyć, ale dokładnie, obecną sytuacyę polityczną, choć o ile mnie się zdaje, języczek światowej wagi zaczyna się przechylać ku stronie pokojowej.

Wnoszę to bodaj z tego, iż pisma codzienne stałą rubrykę: „Przygotowania wojenne" zmieniły z czasem na „Przygotowania pokojowe", a polityczne dyskusye, prowadzone po krakowskich knajpkach, nie są już tak ożywione, jak dotąd.

Być może wpłynęła na to ta okoliczność, iż zbliżamy się ku środkowi miesiąca, (a w każdym z nich ostatnie dwadzieścia dziewięć dni są bardzo ciężkie do przebycia), a za plecami mamy święta, czyli, jednem słowem, że doznajemy na sobie strasznych skutków ogólnej golizny, o jakiej się nawet pani de Thébes nie śniło.

Cieszymy się jednak nadzieją, że nastaną lepsze czasy... niestety, nikt mi dotąd nie umiał powiedzieć, kiedy to będzie. Spodziewano się, że owa amerykańska pożyczka, którą Austrya zaciągnęła w kwocie dwudziestu pięciu milionów dolarów, przyczyni się do poprawienia finansowych stosunków, zawiedziono się przecież, gdyż na niej położył zaraz rękę pan minister wojny i jego koledzy od obrony krajowej. Pewną satysfakcyę sprawiła mi też wieść o dymisyi pana Auffenberga, ale to jeszcze mało, chciałbym by ten sam los spotkał i resztę winowajców.

Dzienniki podnoszą, że zawarcie tej pożyczki powinno się uważać za fakt radosny, gdyż przypuszczać należy, że napływ złota do kraju polepszy kurs dewiz i stłumi zaniepokojenie na targu pieniężnym. Interesującym jest też ten moment, iż po raz pierwszy zapanowała przykładna zgoda między obiema połowami monarchii, i Austrya bowiem i Węgry zawarły układy pożyczkowe pod zupełnie tymi samymi warunkami.

Pocieszają nas więc wszyscy i wszędzie, ba nawet kanclerz niemiecki, który swą przemową w ubiegłym tygodniu narobił tyle wrzawy, miał w sobotę, jako w dzień swych urodzin, odezwać się do gratulantów w te słowa:

— Mieliśmy ciężkie czasy, ale zdaje się, jesteśmy już za górą.

W ten sam sposób ambasador niemiecki w Petersburgu, hr. Pourtales, wpływa na opinię publiczną, twierdząc, że niema obecnie powodu do obaw i zdaje się, że teraz już nastąpi ogólne uspokojenie.

Z wielkiem zamiłowaniem zabrałem się do gromadzenia wszelkich objawów pokojowego załatwienia obecnego przesilenia i zamierzam ułożyć na ich podstawie memoryał, przeznaczony dla mych wierzycieli, a przekonujący ich, że, skoro sytuacya się wyjaśnia, powinni i oni rozpogodzić oblicza i otworzyć swe przepaściste kieszenie, zwłaszcza, iż zbliżają się święta, a z niemi wzrasta zapotrzebowanie gotówki.

Każdy z szanownych Czytelników, którego Opatrzność obdarzyła tak zwaną (choć nie wiem, dlaczego...) lepszą połową, a związek ten pobłogosławiony został potomstwem, drapie się z pewnością za uchem i kalkuluje tak, jak ja, skąd wziąć monety, by na wigilię zafundować sobie bodaj jakiego śledzia i trochę bałabuchów, bez których znów świat nie rozumie fraucymer, ale każdy staje też wobec tej ewentualności, że z próżnego i sam Salomon nie naleje!

I tak to my, c. k. podatnicy, na własnej skórze odczuwamy wahania polityczne i przechodzimy gromadnie do obozu zwolenników ogólnego pokoju i rozbrojenia, choć właściwie sami nie wiemy, czy dziś lub jutro, nie zapuka do drzwi wysłannik Marsa pod postacią woźnego magistrackiego z kartą powoławczą pod karabin!

To byłby rzeczywiście bardzo miły upominek gwiazdkowy, oraz rekompensata za to, iż święty Mikołaj zapomniał zupełnie o człowieku!

Aby jednak ktoś nie myślał, że wojna jest już absolutnie wykluczoną, muszę mu wytłumaczyć, że owo polepszenie sytuacyi politycznej rozumieć należy w ten sposób, iż poprawiły się stosunki między wielkiemi mocarstwami, ciągle jednak doku cza Austryi czyrak, który nazywa się Serbią.

Małe państewko bałkańskie, cierpiące obecnie na manię wielkości i morską chorobę, która tem się objawia, iż politykom serbskim gwałtownie zachciewa się własnego portu nad Adryatykiem, więcej już sprawiło kłopotu Austryi, niż wszyscy inni sąsiedzi razem wzięci.

Serbia obstaje ciągle przy swych żądaniach i nie chce wyjawić swego istotnego stanowiska w kwestyi albańskiej przed rozpoczęciem rokowań pokojowych, względnie przed zawarciem pokoju z Turcyą.

Austrya jednakowoż, jakkolwiek znaną jest z anielskiej cierpliwości, nie myśli wcale czekać tak długo i być może zdobędzie się wreszcie na jaki krok stanowczy zwłaszcza, że zza Dunaju dochodzą ciągle wiadomości o gwałtownych zbrojeniach się Serbii, która powołała pod broń nawet ślepych i kulawych. — Prasa tamtejsza występuje coraz bardziej wrogo przeciw znienawidzonemu sąsiadowi, nie chcącemu przepuścić przez swe granice ani tamtejszej nierogacizny, ani nawet królika!

Nie brak przecież i tu głosów, że w Belgradzie nie myślą wcale o nowej wojnie i nie przypisują agresywnym enuncyacyom prasy żadnego znaczenia.

Nadzieja, że Serbia istotnie skłoni się do polityki umiarkowania, opiera się tylko na tej przesłance, zresztą bardzo problematycznej wartości, iż w razie wojny byłaby ona zupełnie odosobnioną i że nie tylko żadne mocarstwo, ale nawet żadne z państw bałkańskich nie udzieliłoby jej zbrojnego poparcia.

Ten stan wyczekiwania jest jednak dla obu stron zbyt wyczerpującym, powszechnem jest też przekonanie, że konflikt austro-serbski jeszcze w bieżącym tygodniu wejdzie w stadyum krytyczne.

W „Związku bałkańskim" natomiast, który w księgach firmowych zanotowany został jako spółka z nieograniczoną poręką, zaczyna się coś psuć.

Początek zrobili Bułgarzy i Grecy, którzy powaśnili się z okazyi zajęcia Salonik, za nimi poszli Czarnogórcy i Serbowie, kiwający sobie od czasu do czasu palcem w bucie.

Najbardziej martwią jednak wspólników Rumuni, którzy, choć nie przyczynili się żadnym udziałem, chcieliby przecież koniecznie należeć do spółki, ale tylko w chwili dzielenia się dobytkiem padyszacha. Ponieważ zaś związkowcy wiedzą, że za plecami Rumunii stoi trójprzymierze, patrzą na nią z nieufnością i nie mają wcale ochoty dopuścić jej do wspólnej misy.

Wogóle „Związek bałkański" z pewnym niepokojem oczekuje na zbliżającą się konferencyę ambasadorów w Londynie i przypuszcza, może i słusznie, że zechce ona wywrzeć nacisk na państwa bałkańskie i pozbawić je owoców ich zwycięstw.

W tym wypadku grożą jednak wznowieniem wojny.

Zanim się to jednak rozwikła, niedoszły Symeon II., na razie tylko Ferdynand bułgarski, wybiera się w wielką podróż okrężną przez miasta zdobytych krajów, przyczem odwiedzi i Saloniki, ostentacyjnie zaś ominie Konstantynopol, z obawy, by przypadkiem nie zawlókł stamtąd cholery.

Urzędowym kandydatem na tron albański ma być egipski książę Achmed Fuad, bawiący obecnie we Wiedniu i urządzający na wzór ministra Długosza polityczne obiadki i herbatki.

W jednem z przyjęć wziął udział i prezydent Leo. Księżę Achmed Fuad wypytywał go podobno o stosunki krakowskie i ewentualną aneksyę Podgórza, głównie zaś interesowała go sprawa szeroko torowego tramwaju na Salwatora i parcelacya gruntów poforteczych.

Wogóle okazał on bardzo dokładną znajomość stosunków krakowskich, większą nawet, niż niejeden z ojców miasta.

Co do kwestyi obsadzenia tronu macedońskiego, to zdania są jeszcze podzielone. Jednym z kandydatów jest książę bułgarski, a i król Nykita czarnogórski ma potomstwo, dla którego chętnie postarałby się o zaopatrzenie na starość.

Wszystko jednak zależy od owej konferencyi ambasadorów, która ma się odbyć w Londynie, a potrwa, jak się zdaje długo, ze względu na niezgodę wśród państw bałkańskich.

Czekajmy więc cierpliwie!

Wojownicze usposobienie okazują przedewszystkiem sufrażystki angielskie, które dały sobie spokój z osobami ministrów, a zabrały się natomiast do listów, które oblewają jakimiś płynami gryzącymi. Sądzą, że w ten sposób wywalczą dla siebie równouprawnienie z rodzajem męskim, który z galanteryą znosi te wybryki zdenerwowanych niewiast i wyobraża sobie, jakby to pięknie wyglądał świat, gdyby one wzięły w swą rączkę ster rządów.

Wówczas o pokoju europejskim albo światowym nie mogłoby być ani mowy, zmarnowałby się więc fundusz, przeznaczony na nagrody pokojowe przez Nobla.

Samo wspomnienie o nim przejmuje mnie żalem, byłem bowiem pewny, że jeśli kiedy, to właśnie w tym roku zostanę jednym z laureatów, nikt przecież nie nawoływał tak do pokojowego załatwienia przesilenia, jak ja, we własnej swej osobie.

Tymczasem dowiaduję się z wczorajszych telegramów, że tego roku komitet fundacyjny nie obdarzy nikogo nagrodą pokojową, wobec czego zmieniam swe przekonania i głosuję stanowczo za wojną, tylko nie domową, bo ta jest ogromnie nieprzyjemna, zwłaszcza, jeśli się ma, tak jak ja, energiczną i dobrze zbudowaną połowicę.

Dajmy jednak pokój wojnie i niewiastom, aby niepotrzebnie nie wywoływać wilka z lasu, zajmijmy się natomiast bodaj troszkę naszym kochanym Krakowem, by nas przypadkiem kto nie posądził, że o nim zapomnieliśmy.

Otóż przedewszystkiem z ręką na sercu stwierdzam, że zgrzeszyłem myślą i mową, głosząc, iż tramwaj szerokotorowy na Salwatora nie będzie gotowy tego roku, jak się bowiem okazuje, lada dzień oddany zostanie do użytku publicznego, o ile naturalnie nie zajdą jakieś nadzwyczajne przeszkody, n. p. wkroczenie Chińczyków do Krakowa.

Swoją drogą muszę przyznać, że krakowska Spółka tramwajowa ma widocznie względy u niebieskiego referenta od pogody, w tym czasie zazwyczaj miewaliśmy mrozy i śniegi, tego roku ciepło i ładnie, od czasu tylko do czasu pada deszcz i to dlatego tylko, byśmy nie zapomnieli o błocie, bez którego trudno sobie wyobrazić tak starożytne miasto, jak Kraków.

A propos tego błota, o którem ludzie opowiadają sobie historye, wspomnę o ięcie Salomonowym wyroku krakowskiego magistratu. Poinformował mnie o tem pewien kamienicznik, za autorstwo nie przyjmuję też żadnej odpowiedzialności.

Otóż, wedle jego słów, wezwano w ubiegłym tygodniu stróżów realności, (przepraszam bardzo, nie chcę im ubliżać, wymagają bowiem, by ich nazywano dozorcami...) przed oblicze któregoś z autonomicznych dygnitarzy i tu z ust jego dowiedzieli się, że, ponieważ w Krakowie jest błoto, skazani zostają na sześć godzin aresztu lub koroną grzywny!

Polacy na obczyźnie.

Że rodacy nasi, pracujący za granicami kraju ojczystego, nie zapominają o sobie i o swoich obowiązkach, świadczy dobitnie „Towarzystwo Polaków, pracujących w Monachium“, założone jeszcze w r. 1875. Co roku urządza ono po kilka wieczorków, na których nie zapomina się o cieplejszem, serdecznem słowie, wskazującem obowiązki tym, co są poza krajem, a oprócz tego kultywuje się pieśń polską. I w ostatnich dniach odbył się tam taki wieczorek, urządzony doraźnie zebranemi siłami, a wypadł on dzięki inicyatorowi, nadzwyczaj pięknie. Wzięli w nim udział pp. Poznański, prezes stowarzyszenia, Rapski, Magiera, Misiaczek i Dalewski. Wieczór przeciągnął się do późna w noc i zostawił w kołach uczestników nad wyraz miłe wrażenie.

Illustracya nasza przedstawia grupę członków „Towarzystwa Polaków, pracujących w Monachium“.



Dom Robotniczy w Przemyślu: Zewnętrzny widok budynku. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Dom Robotniczy w Przemyślu.

Tymi dniami otwarto w Przemyślu wspaniały gmach, jako Dom Robotniczy w Przemyślu. Zarówno konstrukcya całości, jak i wewnętrzne urządzenie tego pałacu robotniczego, który jest prawdziwą ozdobą Przemyśla, świadczy niesłychanie dodatnio o jego twórcach, jak i o robotnikach, którzy pomnikowe dzieło swojej samopomocy umieli ująć w tak przepiękne kształty, że pozazdrościć Przymyślowi może tak Lwów, jak i Kraków. W Domu Robotniczym pomieszczono konsum, piekarnię, salę teatralną i biura, to też nie ulega wątpliwości, że dla robotników tamtejszych będzie on miłem miejscem rozrywki i wytchnienia.

Illustracya nasza przedstawia zewnętrzny widok przemyskiego Domu Robotniczego.

Dramat dwóch sióstr.

(Do illustracyi na str. 10).

Powiada przysłowie, że miłość jest ślepa, a zarazem zdolna do wszelkich poświęceń. Nic też dziwnego, iż w takich warunkach wiąże ona nieraz ze sobą ludzi na to, aby potem zawierucha życiowa z nieubłaganą koniecznością pchnęła ich w objęcia śmierci. Stwarza ona nieraz sytuacye, których nieprawdopodobieństwo walczy o lepsze z opisami sensacyjnych romansów.

W ostatnich dniach podobny dramat miłosny rozegrał się we Lwowie. Dwie siostry przyrodnie, Michalina Bogucka i Teodora Molikiewiczówna kochały się w murarzu Franciszku Szczuckim, zaręczonym z pierwszą z nich. Trójkąt ten z fałszywego położenia, w jakiem się wszyscy wobec siebie znajdowali i o czem dobrze wiedzieli, znalazł jedno tylko możliwe wyjście... śmierć. Udali się więc wszyscy troje do hotelu Litewskiego na ul. Zółkiewskiej i tam Szczucki wystrzałami rewolwerowemi zabił najpierw obie ukochane, a potem strzelił do siebie. Dziewczęta zginęły na miejscu, zaś ich kochanek ocalał, choć ciężko ranny. Został on aresztowany i odpowie przed sądem za zabójstwo.

Z półek księgarskich.

Józef Nekanda Trepka: **Dobre dzieła:** II. Bonifratrzy w Krakowie. III. Albertanie i Albertanki. IV Opieka nad terminatorami. Kraków 1913. Główny skład w księgarni S. A. Krzyżanowskiego Nakładem Wydawnictwa „Głosu Narodu“.

Trzy broszurki, na pozór skromne, zasługujące jednak na baczną uwagę i pilne przestudyowanie ze względu na donisłą i aktualną treść.

W pierwszej przypomina autor dzieje krakowskiego konwentu i szpitala Bonifratrów, a zarazem przedstawia w barwnym opisie obecną działalność tych prawdziwych pracowników w imię chrześcijańskiego miłosierdzia.

Druga poświęcona jest zgromadzeniu Braci Tercyarzy i Sióstr Tercyarek, posługujących ubogim, założonemu przez tak popularnego w naszem mieście, a dziś w całym kraju, Brata Alberta. Jakie znaczenie ma dla naszego społeczeństwa powołana przezeń do życia instytucya, dowie się każdy z niniejszej broszury, omawiającej bardzo wyczerpująco ich cele i zadania.

Ostatnia porusza wreszcie sprawy terminatorów rzemieślniczych i zajęcie się nimi przez chrześcijańskie społeczeństwo, grupujące się w Polskim Związku Katolickich rękodzielników w Krakowie.

Wdzięczność należy się Autorowi za poruszenie tych tematów, najlepszą zaś nagrodą będzie jak najszersze spopularyzowanie książeczek.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 48.

Łamigłówka:

Mara
bobo
bela
nogi
lipa
wali
zara
koza
cepy
domy
arak

Figielek: Mała baba jak palec, a zła, jak padalec.

Arytmogryf: Znaczenie cyfr 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 = ospalec.

Szarada: Konstantynopol.

Logogryf:

P
K r a
J ó z e f
P o z y c y a
M o n t b l a n c
B e n e d y k t y n i
D z i e c i s z a t a n a
M i s t r z o s t w o
Z w o l e n n i k
J a d w i g a
W y s p a
O k a
l

Przysłowiówka: Nie znamy, co mamy, aż postradamy.

Rebus: Kotary nad łóżkami bardzo to zgadzająca się z estetyką ozdoba, ale niezdrowa.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: I. Oszacki Warszawa, M. Więckowska Lwów, S. Rudomski Kraków, J. Jaglarz Lwów, F. Gebhardt Kraków, M. Pianecka Kraków, P. Madejski Kraków, S. Gruber Warszawa, A. Siatka Kraków, A. Dyżak Kraków, J. Sawliński Lwów, M. Lichańska Lwów, K. Marcinkiewicz Jasło, J. Lisowski Kołomyja, S. Gidomski Płock, D. Sedyńska Zakopane, F. Bätterfeind Kołomyja, K. Kamocka Piotrków, W. Swirski Sandomierz, S. Karwowski Poznań, J. Ciesielski Poznań, L. Ostrowski Sanok, J. Roland Prądnik Czerwony, H. Kaniewski Kraków, I. Zerygiewicz Stanisławów, Z. Łopatkiewicz Jasło, S. Karczmarski Poddębie, H. Srokowska Zamość, W. Reich Kraków, D. Medyński Zakopane, M. Olszewska Kraków, R. Paciorkowski Sambor, K. Wacławik Poznań, M. Kownacka Warszawa, J. Gruszczyńska Podgórze, L. Korytowski Wiedeń, K. Habowska Zwierzyniec, K. Gliński Kołomyja, J. Misiewicz Lwów, K. Michałowski Lwów, S. Bukowski Kijów, E. Osada Piotrków, K. Stankiewicz Warszawa, E. Domański Lwów, S. Wojczyński Petersburg, K. Dębiński Jasło, A. Zawada Rzeszów, Z. Marynowska Olszanica, H. Piątek Podwołoczyska, F. Nowacki Przemyśl, M. Wilkosz Kraków, F. Schmidt Cieszyn, R. Sauer Sandomierz, S. Rost Rzeszów, A. Piękoś Lwów, R. Kalinowski Warszawa, T. Mazaraki Radom, J. Obst Warszawa, J. Jasiewicz Lwów, H. Krupiński Lwów, W. Bandrowski Kołomyja, E. Niestenberger Kraków, J. Leszczyński Rozwadów, T. Niemiel Oświęcim, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Błaszczykiewicz Zakopane, H. Scholz Kraków, K. Zagartowska Bogucice, R. Bernatowicz Sandomierz, J. Cichocki Płock, I. Brzostowski Kraków, J. Strojek Tarnopol, S. Ossowski Krosno, J. Kopczyńska Bierzanów, J. Tułecki Bochnia, W. Łapiński Lwów, J. Radwan Warszawa, J. Trojacki Wiedeń, J. Solecka Zakopane, H. Broda Rzeszów, D. Michalski Sosnowiec, A. Sługucka Kraków, J. Krawecki Drohobycz, J. Jahoda Cieszyn, K. Rylski Poznań, S. Karwowski Rzeszów, G. Górecki Tarnobrzeg, W. Potocka Rzeszów, J. Antosz Bochnia, R. Kozłowski Sambor, J. Jaworski Zakopane, M. Zagórska Kalisz, H. Sosnowski Kijów, C. Wang Rzeszów, G. Górski Kraków, J. Trepka Sandomierz, L. Szymański Petersburg, E. Lewicki Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Kwaśniewski Lwów, L. Niemczycki Stanisławów, S. Kowalówka Kraków, R. Ignatowicz Lwów, D. Fink Przemyśl, J. Better Lwów, A. Galiński Sambor, K. Keim Radziszów, H. Tyszecka Warszawa, A. Kaduls i Kraków, H. Winceacik Zakopane, J. Siegel Tarnów, J. Janik Drohobycz, J. Roth Kołomyja, M. Pokorska Lwów, D. Schwadron Stanisławów, K. Nowak Podgórze, S. Wiewiórowski Lwów, J. Obraczay Morawska Ostrawa, L. Bogacki Piotrków, J. Chmurowicz Kraków, S. Zachara Krosno, A. Gołębiowska Warszawa, K. Charzewski Kraków, J. Tomaszkiewicz Warszawa, J. Jakubowska Kraków, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Wąsowicz Tarnów, J. Owoc Warszawa, D. Engelberg Rzeszów, H. Łopatyńska Sambor, M. Kozik Lwów, S. Dzikowska Sandomierz, M. Klappholz Rzeszów, K. Bartoszewski Warszawa, S. Balicki Jasło, J. Szulc Kraków, A. Biliński Tarnów, E. Lewicki Stanisławów, J. Pick Warszawa, Z. Sperling Wiedeń, S. Morawska Lwów, J. Lasocki Stanisławów, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, E. Bogdalska Koropuż.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Łapiński, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wyścigi konne w Krakowie. W dniu 30 listopada b r odbyły się pod przewodnictwem pp: Jana Hr. Tarnowskiego i JEkscellencyi, c. i k. marszałka porucznika Ignacego von Korda, posiedzenia Członków Komisyi programowych Towarzystwa międzynarodowego oraz Galicyjskiego Klubu Jazdy Panów w Krakowie

W propozycyach wyścigowych na rok przyszły (1913) przedsięwzięto dość dużo zmian zmierzających nie tylko do podniesienia krajowej hodowli koni, ale także do obudzenia w ogólności większego zainteresowania się wyścigami sfer sportowych

Jako stanowcze terminy uchwalono dnie 22, 24, 26, 28 i 29 czerwca, obejmujące dwie niedziele.

W połowie maja r n. odbędzie się XI konkurs hippiczny, połączony z wyścigiem myśliwskim i konkursem „Skoku na wysokość".

Z półek księgarskich.

Wielkie rozpowszechnienie w kraju całym znalazły wyroby jubileuszowe (1863—1913) zaszczytnie znanej fabryki S. W. Niemojowskiego i Ski. we Lwowie Tak piekny i wytworny papier listowy z wodnym znakiem Anno MDCCCLXIII, jak i tutki, oraz bibułki cygaretowe „1863" spotykają się zewsząd z licznymi wyrazami uznania. Już obecnie sprzedaż tych pięknych wyrobów przemysłu krajowego zapewniła Komitetowi znaczny dochód a nie należy wątpić, że dochód ten przy patryotycznem poparciu jednostek, stowarzyszeń etc. osiągnie znaczne sumy.

Znana zaszczytnie księgarnia nakładowa *Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie* wydała nową seryę tomików *Biblioteki powszechnej*.

Opuściły prasę drukarską:

Nr. 901—902. Strindberg: **Koledzy. Komedya**

Nr. 903. Słowacki: **Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.**

Nr 904. Fels: **Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach.**

Nr. 905. D'Annunzio: **Urszula.**

Nr. 906—908 Bolesławita: **Szpieg.**

Nr 909 Syrokomla: **Kasper Karliński.**

Nr. 910 Börne: **Listy o Polsce. 1830/31.**

Nr. 911 912 Schiller: **Oblubienica z Messyny czyli Bracia rywale.**

Nr 913 Korzeniowski: **Panna mężatka.**

Nr 914 Gutzkow: **Uriel Akosta.** Tragedya.

Nr. 915 Fredro: **Co tu kłopotu!** Komedya.

Nr 916—917. Niemcewicz: **Śpiewy historyczne.**

Nr. 918 Szajnocha: **Szkice historyczne IX.:** Wiek Kazimierza Wielkiego

Nr 919—920 Tołstoj: **Żywy trup.** Dramat.

Cena pojedynczego tomiku 24 hal.

Panie Gospodynie! Baczność!

Nie kupujcie żadnego masła ani nic podobnego dopóki nie skosztujecie sławnej ogólnie wypróbowanej, światowej marki

BLAIMSCHEINA
„UNIKUM“
MARGARYNY

„UNIKUM“ nie jest żadnym tłuszczem roślinnym.

„UNIKUM“ jest z najczystszego i najlepszego tłuszczu zwierzęcego z domieszką śmietany pasteuryzowanej i dlatego posiada **największą wartość pożywną** i jest rzeczywiście zdrowy.

„UNIKUM“ nie jest produktem sztucznym, tylko **czystym naturalnym.**

„UNIKUM“ jest o **50%** **tańszy** i o wiele wydatniejszy od masła.

TYLKO UNIKUM BLAIMSCHEINA jest tym **jedynym i prawdziwym** środkiem mogącym **służyć** zamiast masła, który **wszystkie dotąd** inne zachwalane środki **przewyższa.**

Wyrób

„UNIKUM“ BLAIMSCHEINA jest przez stałą państwową kontrolę chroniony, co na każdym pakiecie jest uwidocznione.

Szanowne Gospodynie!

Nie dajcie się przez inne namowy **w błąd wprowadzić** i używajcie zamiast masła przy

smażeniu
pieczeniu
gotowaniu
jako **dodatek do chleba**
wyłącznie

BLAIMSCHEINA „UNIKUM“ MARGARYNY

Wszędzie do nabycia! Próbki darmo i opłatnie!

VEREINIGTE MARGARINE- UND BUTTERFABRIKEN, WIEN XIV.

Przybory do akwareli, mal. olejnego, i emaliow. na porcelanie, na drzewie i szkle, Do rysunków, rys. siatkowych gobelinowych i t. p.

Malarskie przybory

Przybory do
Wypalania na drzewie
aksamicie, Fustanno, Tarso.
Dla robót tokarskich
w cynie. mosiądzu etc.
Deseczki do wypalania, malowania i drzewa do robót tokarskich, tarsowych etc.

Wiedeń I., Bier & Schöll, Tegetthoffstrasse 3.

Przy zamówieniu cenników, prosimy o zapodanie działu życzonych materyałów.

Przybory i utensilia do robót piłeczkowych, wycinań ze skóry wypukłych, rzeźb etc.

Wycinania nożykowe.

LABORATORYUM
LEKARSKO-DENTYSTYCZNE
Uniw. Med. Dr. Sabiny Weinberg

Pomocnik techn.

Wilhelm Fruchtman

Kraków ul. Floryańska 23.

Wykonuje wszelkie roboty w zakres lekarsko-dentystyczny i techn.-dentystyczny wchodzące

Ceny przystępne. Ulgi w spłatach.

OZDOBY NA BOŻE DRZEWKO I ZABAWKI otrzymuje każdy czytelnik naszego pisma po cenach bajecznie tanich jako Nagrodę



WSPANIAŁE OZDOBY na Boże Drzewko 1912

Wysyłamy jedynie doborowe wspaniałe sortymenty najnowszych wyrobów, prawdziwe wyroby ze srebra, jedwabiu matow., jako to: rybki złote, dzwonki gwiazdkowe, lampki srebr., latawce srebr., szklanne orzeszki srebr., sople lodowe, wspan. ptaki rajskie, trąbki, puzany, kule świecące, malowane kule srebrne, szlachetne owoce, kule wężowe, wspaniałe wierzchołki drzew, patent. lichtarzyki, anioły, aniołki o ruchomych skrzydłach szklanych, włosy anielskie i wiele innych ślicznych nowości. Sortyment I, 300 sztuk K **6·95**, Sortyment II, 180 sztuk K **4·95.**

Zestawienie Gwiazdkowe 1912.

Dla chłopców (zestawienie 3): Jedna buda jarmarczna albo sklep z zupełnem urządzeniem, ślicznie wykonany, ulubiona zabawka dla dzieci, karton przyrządów stolarskich, solidny wyrób, strzelby o donośnym huku nieszkodliwe, 1 domino w kartonie drewnianym, 1 szwajcarski garnitur kamyczków drewnianych, 1 karton paszy dla bydła, bardzo wytworna robota, 1 skrzypce duże ze smyczkiem do grania, 1 duża kolorowana książka z bajkami Robinsona, 1 kolej żelazna ze sprężynowem mechanizmem zegarkowym do nakręcania, porusza się sama na 4 torach, 1 zegarek goldenowy dla chłopców do nakręcania, 1 piórnik drewniany, 1 łódź o dwu wiosłach poruszająca się bardzo zabawnie, 1 automobil straży pożarnej z ruchomemi drabinami, gimnastyk na ręku w najrozmaitszych produkcyach, wyścigi konne, maszyna do rachowania, metalofon wygrywający wszystkie pieśni, karton z kulami do gry, 1 latarnia magiczna z obrazami, śliczna maszyna parowa do opalania, z wentylem bezpieczeństwa, porusza modele, wszystko razem 36 sztuk za bajecznie niską cenę **tylko K 9·80.** w tym samym zestawieniu bez maszyny parowej **K 6·80.**

Dla dziewcząt (zestawienie 4): 1·40 cm. wysoka mówiąca lalka o oczach do zamykania, staje, siada, daje się obmywać, wymawia wyraźnie papa i mama z modną fryzurą, 1 wielki pokój dla lalki wytwornie obity, 1 kompletne urządzenie pokojowe dla lalki polifurowane, 1 urządzenie kuchenne z naczyniem drewnianem i metalowem, 1 kuchnia metalowa, 1 wielka wytworna kolorowana książka z bajkami, śnieżyczką, 1 piórnik drewniany, 1 duży karton z dworem chłopskim wytwornie wykonanym, 1 kasa oszczędności z kluczem do zamykania, 1 domino w kartonie drewnianym, 1 waga gospodarska, waży dokładnie, bez ciężarków, 1 kurnik z dziubiącemi ruchomemi kurami, 1 małpa spinająca się sama po linie, 1 goldenowy zegarek dla dziewcząt z długim łańcuszkiem goldenowym do nakręcania, 1 maszyna do rachowania, 1 gramofon grający, 1 ruchoma maszyna do latania, lata na linie, 1 maszyna do szycia dla dzieci kręcona ręką, 1 kinomatograf (żywe obrazy) stanowiący też latarnię magiczną, świetna zabawa dla młodych i starszych razem 40 sztuk za bajecznie niską cenę **tylko K 9·80,** to samo zestawienie bez kinematografu **K 6·80.**

Ogłoszenie to, prawdopodobnie tylko jeden jedyny raz się pojawia, poleca się przeto zamówienia natychmiast poczynić, bo każdego roku wiele zamówień przesyłanych zapóźno, załatwiać nie możemy.

Do każdej wysyłki o ile zamówienia otrzymuje przed 18-tym grudnia dodaje jako premię gwiazdkową śliczny podarunek zupełnie bezpłatnie, wartość w stosunku wielkości zamówienia.

Wyłączna wysyłka za zaliczką jak długo zapas starczy przez

Dom wysyłkowy:

H. AUER, Wiedeń IX/29, Alserbachstr. 35

(Firma chrześcijańska).

C. i k. dostawca — **nadw. i kameralny**

GORSET
„Her-Ma“

jest arcydziełem sztuki kroju



HERMAN PIESEN
Kraków, ul. Grodzka L. 4
TELEFON 1534.

Salon modeli: Paryż
39 Rue de l'Echiquier.

Wiedeń, Lwów i Mor. Ostrawa

Gorsety „Her-Ma“

są niezrównane co do fasonu, wygody i taniości.

W każdej cenie do nabycia

Wyłączna sprzedaż patent. opasek „La Nea“ Dra Fr. Gleuarda w Paryżu.

Proszę żądać nowego luksusowego katalogu darmo i opłatnie. Zawiera on najnowsze mody gorsetów.



Ideałem wszystkich Pań jest piękna matowa i arystokratyczne wyglądająca cera to jest dopiero prawdziwa piękność. **Żadnych zmarszczek, żadnych pryszczy, żadnej czerwoności.** Zdrowa i czysta cera twarzy jest rezultatem, który się przez skombinowane używanie **Crème Simon** pudru i mydła Simon osięga. 2

Należy żądać tylko prawdziwej marki.

Dla lekarzy
Stanisław ABL Lwów, Sykstuska 3

Zmiana Lokalu!
Zakład krawiecki
Jakóba Kadłuczki

w Krakowie, przy ul. Szewskiej, **został przeniesiony** na tąsamą ulicę pod **L. 14, I. p.**

Poleca bogato zaopatrzony Magazyn towarów oryginalnych angielskich i krajowych. — Zamówienia przyjmuje na gotówkę i na raty według umowy. — Krój angielski. Wykonanie staranne i punktualne.

Wielce interesująca

Skrzynka z widokami



z mechanicznym zmieniaczem obrazów **Tylko dla Panów** Do tego **50** bardzo pikantnych zdjęć fotograficznych. Obrazy przedstawiają się **nadzwyczaj pięknie i bardzo plastycznie,** a także przez mechaniczne przesuwanie się obrazów jako pikanterya, panorama ta kupowaną jest bardzo chętnie przez Panów **kompletna panorama wraz z 50 fotografiami tylko K 3·50.**

Sprzedaż tylko wprost za zaliczką przez **M. Swoboda, Wiedeń III, Hiessgasse 13-31**

DARMO

i opłatnie otrzyma każdy na żądanie mój bogato ilustrowany katalog główny zawierający 4000 odbitek różnych towarów złotych, srebrnych, zegarków, instrumentów muzycznych, towarów skórkowych, manufakturowych, towarów ze stali, przyborów domowego użytku, przybory do palenia, artykułów toaletowych, broni, szkieł optycznych etc. Dom wysyłkowy c. k. nadworn. dostawcy

Hanns Konrad w Brüx Nr. 4149 (Czechy)

Zegarki nikl. K 4·20, zegarki srebr. K 8·40, budziki nikl. K 2·90, zegary wahadł. 8·50, zegary z kukułką K 8·50. Skrzypce K 5·80, Harmonie K 5·—, Rewolwery K 6·—.

Najlepsze czeskie źródło!

TANIE PIERZE



S. Benisch

1 klg. szarego, dartego kor. 2, lepszego gat. K 2·40, najlep. gat. nawpół białego K 2·80, białego puchowego K 5·10, 1 klg. śnieżnobiałego dartego w najl. jakości K 6·40, K 8, 1 klg. szarego puchu K 6 7, białego K 10, najl. puchu brzusznego K 12.

Przy odbiorze od 5 klg. wysyłka franko.

Gotowe pierzyny z gruboniclanego czerwonego, niebieskiego, białego lub żółtego inletu (Nanking), 1 pierzyna 180 cm. dług. 120 cm. szer. z dwoma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer., dostatecznie wypchane nowem, szarem, czyszczonem, jędrnem i trwałem pierzem K 16, półpuchem K 20, puchem K 24, sama pierzyna K 10, 12, 14 16, poduszka K 3·—, 3·50, 4·—, pierzyny o 200 cm. dług. 140 cm. szer. K 13, 14·70, 17·80, 21, poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szerok. K 4·50, 5·20, 5·70. Poszciółki z mocnego gradlu 180 cm. dług. 116 cm. szer. K 12·80. 14·80. — Wysyłka za zaliczką, od 12 kor. z bezpłatnem opakowaniem. — Zamiana dozwolona, za nienadające się zwracamy pieniądze. — **Dokładne cenniki darmo i opłacone.**

S. Benisch w Deschenitz Nr. 757 (Czechy).

Wskutek powiększenia
Zmiana lokalu!
NAJNOWSZE MASZYNY ELEKTR.

Eugeniusz Maryan UNGER
LWÓW
Akademicka 7
Dom tow. muz

WŁASNEGO WYROBU
Pieczęcie kauczuk. i met. HERBY. Napisy, Medale ODZNAKI em. Monogramy

---

„SZATNIA“
spółka z ogran. odpow.
w Krakowie, ul. Sławkowska 14

POLECA

Na sezon
jesienny i zimowy

obficie zaopatrzony skład ubrań męzkich.

Wszelkie zamówienia wykonuje się według ostatniej mody szybko i wytwornie.

Specyalność: Ubrania sportowe! **Ceny nader niskie!**

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI
W KRAKOWIE

ul. Grodzka 2

Ze świata kobiecego.



Beret aksamitny, brzeg ronda przybrany białym atłasem.

Toczek selskinowy, przybrany fantazyą z piór.



Toczek aksamitny, przybrany wstążką i rajerem.

Garnitur futrzany z białych lisów.

Nowe kapelusze.

Sezon zimowy, mimo iż śnieg bardzo skąpo tylko na kilka dni się pokazał, jest w pełni. To też obecnie już ustaliła się zimowa moda kapeluszy. Z wielkich letnich, które zasłaniały częstokroć całą twarzyczkę, obecnie modne kapelusze zmieniły się w zgrabne, podłużne fasoniki, bardzo skromne, choć przez swoją skromność właśnie bardzo eleganckie.

Duże fasony, przeważnie pluszowe lub aksamitne, używane są tylko jako uzupełnienie toalet wizytowych i noszone wtedy, kiedy zamożność właścicielki pozwala jej swe wycieczki po świecie odbywać w dorożce lub prezentować się w loży teatralnej.

Dla kobiet, które chcą się praktycznie ubierać, najstosowniejsze są małe fasony okrągłe lub podłużne o rondzie z boków lekko podwiniętem. Są one bądź filcowe, bądź też aksamitne, a za ozdobę służy albo strusie pióro lub rajer, zgrabnie z boku i nisko dosyć upięty, albo też przepięcie z wstążki dosyć szerokiej, ale możliwie najskromniejsze.

Bardzo noszone są także czapki futrzane. Mają one formę toczków lub kołpaków, albo też kapuz. Ozdobą ich jest bądź fantazya jakaś skromna z futra zazwyczaj innego niż fason koloru, albo też rajer lub jakieś długie a wąskie pióra, n. p. bażancie.

W dzisiejszym numerze dajemy właśnie szereg rycin, przedstawiających obecnie najbardziej noszone kapelusze. Pierwsza rycina u góry przedstawia fantazyjny berecik, gdzie główka upięta jest z zwykłego worka aksamitnego. Jest on bardzo wdzięczny i zwłaszcza dla młodych pań godny polecenia.

Dla pań, które interesują się także materyałem, którym ubierają się ich kapelusze, zauważam, że w ostatnich czasach stowarzyszenia ochrony zwierząt rozpoczęły energiczną kampanię przeciw temu, aby nie używano do zdobienia fryzur i kapeluszy rajerów. Pióra te bowiem są wyrywane z żywych ptaków. Wezwanie to zaczyna znajdować oddźwięk w sferach interesowanych.

Panie zaś, które lubią strusie pióra, niech się dowiedzą, że siedliskiem handlu temi piórami jest Londyn. Tam raz do roku w końcu listopada i początku grudnia odbywa się przetarg na pióra, które przez cały rok tamże są zwożone. W tym roku ceny piór są średnie i za funt dobrych piór płaci się około 1000 kor. Obrót roczny w tym dziale handlowym wynosi w Londynie około 6 mil. koron.

Do uwag o kapeluszach dodam jeszcze małą uwagę wprawdzie nie odnoszącą się do tego przedmiotu, ale będącą bardzo na czasie. Lada dzień rozpocznie się sezon ślizgawkowy. Otóż moda dla pań zajmujących się tym sportem zniosła obowiązek noszenia wązkich spodnic, natomiast skróciła jeszcze trochę spodniczki sportowe lub zamieniła wreszcie na szerokie ciemne szarawary, sięgające do kolan, do których ubiera się tego samego koloru kamasze.

Najwłaściwszym kostyumem sportowym jest krótka spodniczka fałdzista z paskiem, switer biały z jakimś kolorowym kołnierzem i odpowiedniego koloru czapeczka. Barwa kostyumów winna być jasna, a więc albo popielata albo też biała. *W.*

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

20

Pocieszywszy swego pomocnika, kazał mu wziąć inny automobil i zawieść się do Lasku Bulońskiego. Pierwszemi osobami, jakie spotkał byli markiz don Izigo Martolo i jego piękna siostra hrabina Pepa d'Ortega, używający przejażdżki konno. Patrząc na wyświeżonego eleganckiego markiza, Paulin Broquet pomyślał, że wczoraj wieczorem na dachu wagonu widział kałużę krwi, że na krzewach rosnących na sklepieniu tunelu zaczepiona była zbroczona krwią czarna maska ze złocistą literą „Z".

Część II.

ROZDZIAŁ I.

Podczas podróży morzem, kapitan Montgomery myślał usilnie o zabezpieczeniu swych przyjaciół przed napadem, gdy już staną w jego kraju w Anglii.

— Moi drodzy — mówił do nich — wczorajszy napad był dla nas lekcyą, z której powinniśmy skorzystać.

— I dla nich także! — zawołał gorąco La Rochardie. — Wątpię bardzo, czy zechcą znowu nas zaczepić. Teraz dadzą nam spokój.

— Nie! — odparł chłodno Anglik. — Pokusa jest nazbyt silna, żeby mieli zaniechać po pierwszej nieudanej próbie. Rozpoczną na nowo...

— I my także! — oświadczył La Rochardie, wznosząc pięść.

— Jesteśmy w Anglii. Wszystko tu się dzieje inaczej, niż we Francyi, pamiętaj o tem, mój drogi. I pozwól, że jako Anglik będę waszym przewodnikiem w moim kraju.

— Słuchamy cię.

— Chodźmy na pokład — rzekł Montgomery. — Będziemy na powietrzu. Murom nie dowierzam. Ściany zawsze mają uszy.

Trzej przyjaciele wyszli na pokład i umieścili się na tyle okrętu. Przekonawszy się, że nikogo w pobliżu niema, Montgomery zaczął:

— Zabrali ci pas, mój drogi Simonet, przypuszczając, że tam się znajdują dokumenty...

— Które, dzięki pomysłowości Paulina Broquet'a są w pewnem schowaniu — dokończył Simonet.

— Doskonale, ale oni już wiedzą, że w pasie dokumentów niema i będą ich szukali gdzieindziej.

— Naturalnie.

— Niechybnie więc napad powtórzy się...

— Niech napadają — przerwał La Rochardie — jesteśmy gotowi!

— Przepraszam cię, mój drogi, wiem, że gotów jesteś walczyć... Ale ja podejrzewam co innego. Co? Nie wiem doprawdy... Ale jestem pewny, że bandyci chwycą się wszystkich sposobów. I tembardziej powinniśmy się mieć na baczności, że Paulin Broquet nie pomoże nam. Możemy liczyć tylko na samych siebie.

— To prawda!

— Otóż, mój drogi Simonet, daj mi te papiery do przechowania.

— Muszę spełnić swój obowiązek i wręczyć te papiery...

— Wręczysz je ministrowi sam. Ale mnie dasz je do przechowania. Gdy przybędziemy do Newhaven, podczas gdy wy będziecie na komorze, ja udam się do posterunku wojskowego i złożę dokumenty w miejscu bezpiecznem. Przesłane będą do Londynu jako papiery rządowe i jako takie będą nietykalne. Wręczę je ci w przedpokoju ministra i ty sam oddasz mu je, jak miałeś polecone. Ty zaś dojedziesz do Londynu pod strażą La Rochardie.

Tak też zrobiono.

Simonet i La Rochardie po załatwieniu formalności cłowych, wsiedli do pociągu i bez żadnej przygody dojechali do Londynu, gdzie zajęli zamówione przez telefon apartamenty w Cyril-Hotel, olbrzymim gmachu przy Strandzie. Pierwszą myślą Simonet'a po zainstalowaniu się w numerze hotelowym była kąpiel. Chciał orzeźwić się po podróży i pozbyć się też zarazem pończoch gumowych, które go krępowały. Rozebrał się, zdjął pończochy, rzucił je na krzesło w sypialni i udał się do łazienki. Szmer płynącej z rur wody zagłuszył lekkie skrzypnięcie drzwi, wiodących z korytarza do sypialni. Drzwi te otworzyły się i ukazał się w nich jakiś człowiek. Simonet nie widział nic i nie słyszał, zajęty przygotowywaniem kąpieli. Człowiek wszedł do pokoju i z niesłychaną ostrożnością począł się posuwać w stronę krzesła, na którem leżało ubranie Simonet'a i pończochy gumowe... Już miał wyciągnąć po nie rękę, gdy nagle w sąsiednim numerze zajmowanym przez kapitana La Rochardie rozległ się potężny okrzyk i odgłosy walki.

— Masz tobie! — zawołał Simonet — La Rochardie już wojuje! Co się tam mogło stać?

Stało się coś, co zaalarmowało cały hotel.

Kapitan La Rochardie również miał zamiar się wykąpać. Rozebrał się, napuścił wody do wanny i już miał wejść do niej, gdy przypomniał sobie, że dobrze byłoby przytem wypalić papierosa. Powrócił więc do sypialni, gdzie na stole, założonym różnemi drobiazgami i gazetami, zostawił papierośnicę. Przed stołem stało krzesło, na które kapitan rzucił był swój płaszcz podróżny. Szukając papierośnicy pomiędzy gazetami, przez nieostrożność zrzucił ją na ziemię. Schylił się i w tej chwili zdawało mu się, że usłyszał koło drzwi jakiś szmer. Oczekując ciągle na nowy zamach, kapitan stał się ostrożnym i podejrzliwym. Przykucnął więc, schował się za paltem i czekał. Drzwi powoli otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna w podróżnem ubraniu. Na oczach miał umbrelkę, jaką noszą ślepcy i ludzie chorujący na oczy. Umbrelka ta zresztą doskonale maskowała rysy. Człowiek ten przez chwilę nasłuchiwał, rozglądając się po pokoju. Potem, nie wiedząc, ani słysząc nic podejrzanego, śmiało, jakkolwiek z ostrożnością skierował się do stołu.

— Złodziej hotelowy — pomyślał kapitan — albo wspólnik bandy z pociągu.

Gdy ów podejrzany osobnik zbliżył się do stołu, kapitan wyskoczył z ukrycia i rzucił się nań z okrzykiem, od którego dom zadrżał. Złodziej zdrętwiał... La Rochardie poskoczył do drzwi od korytarza i zamknął je. Ale złodziej szybko przyszedł do siebie i zorjentował się w sytuacyi. Odskoczył w bok i rzucił się ku drzwiom, prowadzącym do łazienki, zamierzając tą drogą umknąć. La Rochardie podążył za nim i nie pozwolił mu zamknąć drzwi za sobą. Rozpoczęła się walka. Kapitan, pamiętając o radach swego przyjaciela Montgomery, nie dowierzał swym zdolnościom bokserskim, pochwycił więc przeciwnika swego w pół i chciał go rzucić na ziemię. Ale tamten był silny i zręczny. Walka była trudna. Kapitan przypomniał sobie nagle sposób Arabów, z którym zapoznał się w Algierze. Cofnął się o parę kroków, wziął rozpęd i uderzył przeciwnika główą w piersi. Tamten zachwiał się. Kapitan powtórzył cios, poprawił go potężnem uderzeniem pięści w głowę i zwalił złodzieja wprost w wannę. Nie namyślając się ani sekundy odkręcił kurek z wrzącą wodą...

ROZDZIAŁ II

Na krzyk kapitana i przeraźliwe wrzask poparzonego złodzieja, zbiegli się wreszcie ludzie. Z trudnością udało im się wyrwać nieszczęśliwca z rąk rozwścieczonego kapitana, który chciał go koniecznie żywcem ugotować. Przytem niepodobna się było porozumieć. La Rochardie i Simonet, który także nadbiegł, mówili po francuzku, służba hotelowa po angielsku, poparzony po niemiecku. Wreszcie sprowadzono tłumacza.

Niemiec stracił przytomność, zaniesiono go do jego pokoju i wezwano telefonicznie lekarza. Co do kapitana, to poproszono go, by zechciał ubrać się i zaczekać na przybycie władz sądowych. Sprawa wyjaśniła się w następujący sposób. Niemiec, którego kapitan chciał ugotować, wszedł do jego pokoju przez pomyłkę. Był on chory na oczy i przyjechał do Londynu poradzić się znakomitego specyalisty. Pomylił się co do drzwi, poznał swą pomyłkę i chciał się cofnąć, gdy rzucił się nań kapitan.

Ale La Rochardie nie wierzył temu wszystkiemu, nie wierzył zapewnieniom ludzi, którzy Niemca znali. Nie chciał wierzyć.

— Więc panowie sądzą, że on niedowidzi? Chciano go o tem przekonać.

— No, dobrze, ale ja pozostanę przy swem zdaniu. I radzę panu — zwrócił się do tłumacza — polecić administracyi hotelu, by tego biednego ślepca nie spuszczała z oka.

Tłumacz skłonił się z uśmiechem, obiecując spełnić to polecenie. Ale nieszczęśliwy ślepiec zdawał się nie budzić żadnych obaw. Leżał w łóżku, cały spowinięty w bandaże i cierpiał straszliwie. Był ciężko chory i skazany na paromiesięczną kuracyę.

— To bardzo smutne istotnie — mówił kapitan do Simoneta, który mu robił wymówki... — To może wywrzeć bardzo złe wrażenie, ale mało mnie to wzrusza... I przyznam ci się, że zupełnie nie czuję wyrzutów sumienia, że poparzyłem tego Niemca. Jestem przekonany, że on widzi doskonale. I chciał zobaczyć, co zawierają moje kieszenie.

La Rochardie, jak się okazało, miał słuszność. Biedny ślepiec, poparzony, ciężko chory, wzbudzający ogólny żal, cudownym jakimś sposobem znikł z hotelu. Pokój był pusty. Nikt nie widział go wychodzącego i nikt go więcej nie zobaczył.

La Rochardie, dowiedziawszy się o tem, wydał tryumfalny okrzyk, wobec którego ryk syreny okrętowej wydawał się lekkim szmerem.

ROZDZIAŁ III.

Angielski minister spraw zagranicznych naznaczył na godzinę czwartą popołudniu audyencyę, na której miał przyjąć Simonet'a. Szef gabinetu francuskiego ministeryum zjadł o pierwszej śniadanie z kapitanem La Rochardie. Z kapitanem Montgomery mieli się spotkać dopiero w gmachu ministeryum. Obaj przyjaciele zasiedzieli się długo przy stole, paląc cygara i gawędząc o najrozmaitszych rzeczach z wyjątkiem tego, co zajmowało ich myśli. Gdy zbliżała się godzina audyencyi, wyszli z restauracyi i skinęli na jedną z licznych dorożek automobilowych, które stały koło hotelu.

W chwili, gdy Simonet starał się w możliwie jasny sposób wytłumaczyć szoferowi, gdzie ma ich zawieźć, podeszła stara kobieta, typowa uliczna kwiaciarka londyńska, proponując kupno bukietu.

Ani La Rochardie, ani Simonet nie mieli ochoty kupować kwiatów, odsunęli więc łagodnie przekupkę, która stawała się coraz bardziej natarczywą. Żeby się jej pozbyć, kapitan wsunął jej w rękę pensa, odmawiając przytem przyjęcia bukietu. Ale przekupka nie ustępowała, pochwyciła kapitana za rękę i chciała wsunąć mu kwiaty.

— Ależ nie, dobra kobieto, nie wezmę — rzekł kapitan po francusku. — Schowajcie sobie te kwiaty.

Mówiąc to, szarpnął dosyć silnie ręką. Przekupka krzyknęła i upadła na chodnik, rozrzucając dokoła siebie kwiaty i przeraźliwie wrzeszcząc.

W jednej chwili zebrał się koło niej tłum. La Rochardie przypuszczając, że kobiecie coś się stało, pochylił się, żeby ją podnieść. Przekupka pochwyciła go za ubranie, wrzeszcząc coraz głośniej:

— Ten człowiek uderzył mnie! — krzyczała. — Chce mnie bić!

La Rochardie, nic nie rozumiejąc, chciał ją podnieść. Tłum, jak zwykle w takich wypadkach, nie wiedząc, o co chodzi, powiększał jeszcze zamieszanie. Nie trwało to jednak długo. Ukazało się dwu olbrzymich policyantów, przed którymi tłum rozsunął się z szacunkiem.

— Co się stało? — zapytał jeden z policyantów.

Simonet i La Rochardie starali się wyjaśnić zajście, ale mówili po francusku. Policyant nie rozumiał ich, tłum tem mniej, kwiaciarka zaś, płacząc rozpaczliwie, tłumaczyła:

— Ten gentleman uderzył mnie! Rzucił mnie na ziemię i porozrzucał moje kwiaty!

Wyglądało to na pozór nieprawdopodobnie. Ale Anglicy uważają Francuzów za ludzi gwałtownych, nie umiejących panować nad swemi nerwami. Wszyscy więc byli pewni, że gentleman, zniecierpliwiony natarczywością przekupki, odepchnął ją zbyt gwałtownie. Tego samego zdania był policyant. Ponieważ jednak nie rozumiał wyjaśnień Francuzów, rzekł spokojnie:

— Jedźmy na policyę, tam się to wyjaśni.

Posadzono do automobilu kapitana, Simonet'a i przekupkę, obok której zajął miejsce policyant, drugi zaś usiadł obok szofera i rozkazał:

— Scotland Jard!

Automobil ruszył. W drodze Simonet i La Rochardie próbowali układów z policyantem. La Rochardie przypuszczając, że słowa, wymawiane bardzo głośno, będą zrozumiane przez Anglika, krzyczał tak, że pokrywał swym głosem hałas motoru. Gestykulował przytem gwałtownie. Przekupka ze swojej strony, wciąż płacząc, tłumaczyła zaiście po swojemu. Policyant majestatyczny, niewzruszony, patrzył kolejno to na kapitana, to na kwiaciarkę i powtarzał spokojnie:

— *Yes, yes.*

Jazda trwała długo. Dwaj przyjaciele którzy zrozumieli, że wiozą ich na dyrekcyę policyi, czekali spokojnie na rezultat wyjaśnienia. Mieli przytem jeszcze dość czasu, żeby no załatwieniu tej śmiesznej sprawy zdążyć na audyencyę u ministra spraw zagranicznych.

Wreszcie automobil zatrzymał się przed jakimś domem, w uliczce dosyć odległej od śródmieścia.

— To policya? — zapytał kapitan. — Dyrekcya policyi?

— *Yes* — odparł policyant.

Kolega jego, siedzący obok szofera, zeskoczył na ziemię, wziął za łokieć kwiaciarkę i dał znak obu Francuzom, żeby szli za nim. Drugi policyant zamykał pochód. Policyant prowadzący kwiaciarkę zapukał do drzwi, które otworzyły się i wszyscy weszli.

— Dziwny dom, jak na dyrekcyę policyi — zauważył La Rochardie.

— Jest to zapewne komisaryat — odparł Simonet.

Nie mówiąc nic więcej, dwaj przyjaciele szli za swym przewodnikiem. Przeszli korytarz, jakiś salon, elegancko umeblowany, minęli drugi korytarz i weszli na podwórze, na którem znajdowały się wózki ręczne, wielkie paki papieru, części maszyn. Wyglądało to na podwórze jakiejś drukarni. Weszli do drugiego pawilonu, minęli korytarz i wydostali się kręconemi schodami na drugie piętro. Był tu rodzaj przedpokoju o kilku drzwiach. Policyant, który prowadził przekupkę, otworzył jedne z drzwi, wpuścił ją i zaraz drzwi za nią zamknął. Drugi policyant otworzył inne drzwi i dał znak Francuzom, by weszli. Znaleźli się w niewielkim pokoiku, oświetlonym jedną lampą u sufitu. Zaledwie weszli, światło zgasło i zanim dwaj przyjaciele mogli pomyśleć o obronie, zostali powaleni na ziemię i związani. Nadto przez ostrożność kapitanowi zakneblowano usta. Potem wzięto ich na ręce i przeniesiono do innego pokoju, gdzie było również ciemno. Po chwili odezwał się dźwięk gongu i pokój zalało światło elektryczne. Była to duża sala, pośrodku której stała prasa litograficzna. W kątach złożone paki papieru, na ścianach wisiały litografie, reklamy, próbki druków najrozmaitszych. W głębi za stołem, pokrytym zielonem suknem, siedziało nieruchomo trzech mężczyzn w czerwonych maskach. Mężczyzna, siedzący w pośrodku, w masce ze srebrzystym galonem, skinął ręką. Ci, którzy przynieśli Francuzów, postawili ich na ten znak na nogi. Simonet i La Rochardie zamienili ze sobą spojrzenia. Nie mogli się łudzić, wpadli w zasadzkę. Zachowali jednak zupełny spokój. Człowiek w masce, obszytej galonem, odezwał się wreszcie. Mówił po francusku:

— Jeden z was, panowie, poinformuje nas, gdzie się znajdują dokumenty, które dziś mieli panowie wręczyć angielskiemu ministrowi spraw zewnętrznych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył H. Olechowski, Kraków.

Szarado! Opiewaj obecne wypadki,
Kryjące w sobie przeszłości zagadki
A ... do dzieła! *Pierwsza i dziesiąta*
Inną zdrobniała, umysł twój z pewnością,
T... samo ... jest *piąta i druga*,
Tem młodniejsze, jeśli ... druga
Mr gać ... hodnia krew w nich płynie.
Kto na nie spojrzy nie ... minie.
Teraz z poważnie... *Trzecia z piątą* wskaże
Jego królewską Mość ... nam w darze,
Bez czego dzisiaj ani ... ,
Lubi to starz ... dziecię
Jeżeli *czwartą* Pan Bóg nas nawiedzi,
Martwy ... każdy ... bedzi!
Wspak *szóstą* znajdziesz, jednak nie w polszczyźnie
Ani ... też w niemczyźnie!
Na *ósmą z siódmą* wszyscy narzekamy,
Bo rzo ... mamy
Nie wiesz *dziewiątej?*... Oj ty, ty! Oj ty, ty!
To z tej szarady ... całkiem zbyt!
Nim *całości* nie rozwiążesz wcale,
Po ... nej mieści ... „ale"...
Całość się ... z czterech ... części
A ... tamn... ,
A za ... ż de „w ce"
Zwiedzi tą *całość*, a wszystko stolice!

Łamigłówka literacka.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz

Znaleźć ... niżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół podadzą ... niemieckiego historyka, zajmującego się wyłącznie historyą rzymską.

Szujski?
Sienkiewicz?
Kraszewski?
Wyspiański?
Kraszewski?
Odyniec?
Krasiński?
Kraszewski?
Syrokomla?
Bodzentowicz?
Gomulicki?
Göthe?
Gomulicki?

Łamigłówka.

Ułożył W. Bogusz, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, przypomni nam dwa wyrazy, powtarzane ciągle przez pisma polityczne.

	—	en
gd	—	
	—	on
gn	—	
	—	ra
ko	—	
	—	an
gr	—	
	—	os
wó	—	
	—	en
lo	—	
	—	ak
mo	—	
	—	an
bo	—	
	—	ga

Zdanie do przestawienia.

Ułożył Jan Szymanek, Nowy Sącz

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Sir czesze. Panie! Teza wisi.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1) Kto jak śpiewa, ten się g'unim nazywa.
2) Kto miecz trzyma, pokój miewa
3) Nie wychwalaj butelki do dna, bo pokruszysz męty.
4) Kto małego nie szanuje, ten dużego nie wart.
5) Adam na Ewę, na Adama Ewa, a oboje jedli z drzewa.
6) Nie wywołuj wilka z lasu.
7) Z igły zrobił widły
8) Najgorsze koło u wozu, najgłośniej skrzypi.
9) Za końcem języka wszędzie zajdziesz
10) Z by kozka nie skakała, toby nóż i nie złamała.
11) Jak zagrają, tak skaczę.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Znakomity chirurg polski 3 Imię męskie 4 Tytuł szlachty francuskiej. 5 Tytuł szlachty niemieckiej 6 Odgłos 7 Drzewo szpilkowe. 8 Przyimek 9 Samogłoska.

Zdanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Drwi pik. Kopa E.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Jan Szymanek, Nowy Sącz

Znaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko rzymskiego satyryka.

Hebbel?
Grn e ki?
Schiff?
Tetmajer?
Lessing?
Kr s e ki?
Zbierzchowski?

Za dobre rozwiązania wszystkich powyższych zagadek przeznaczono do rozlosowania *Klemensa Junoszy*. Z zapadłych kątów. Obrazki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pana Madejskiego.